Rok II. Nr. 2. Kraków, 15. stycznia 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

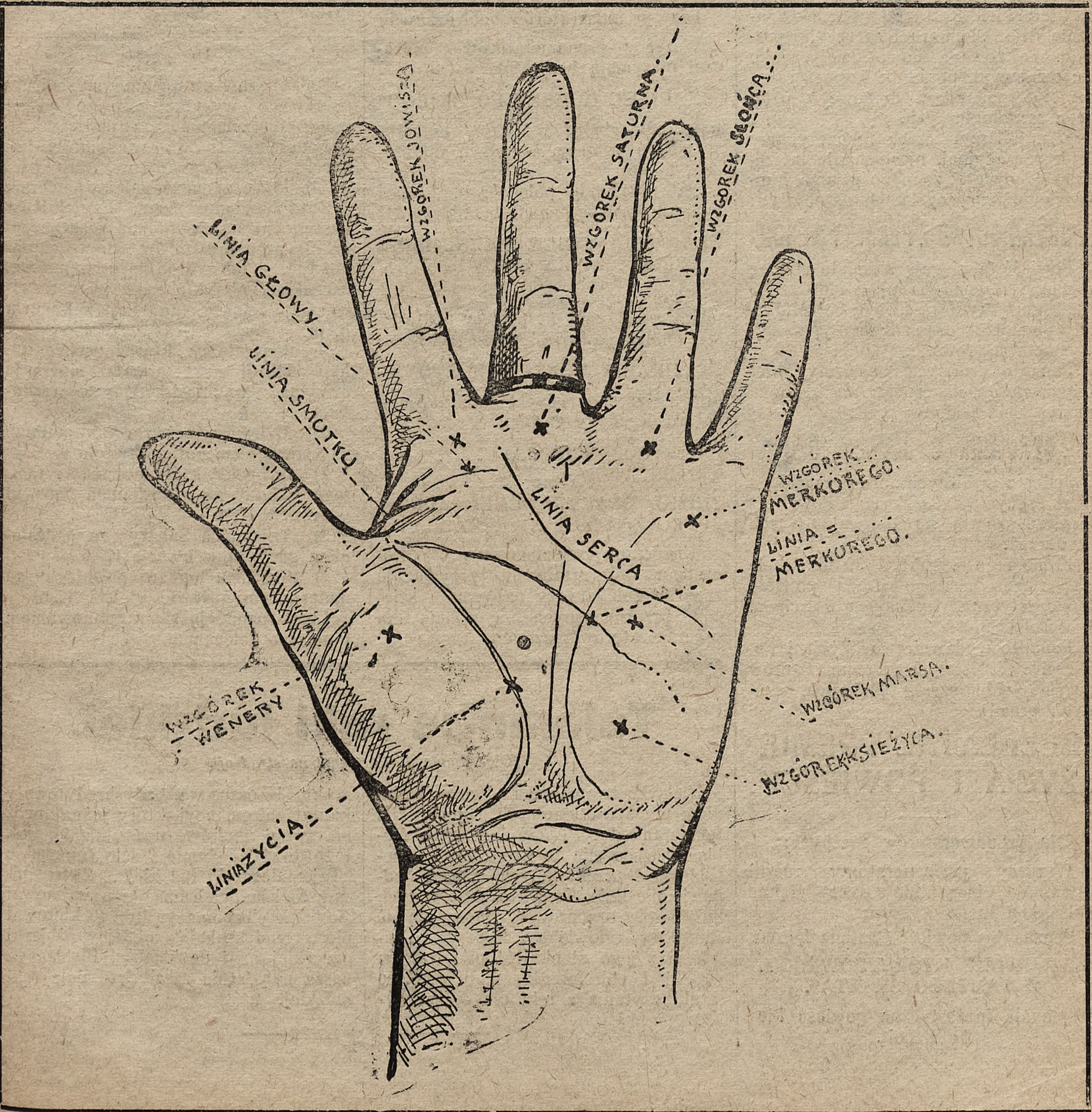
ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16. Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

Tajemnice ręki ludzkiej.



(do tekstu na str. 2-ej).

Do P. T. Czytelników „Życia i Powieści"!

Starania wydawnictwa „Życia i Powieści" w kierunku dostarczenia czytelnikom lektury zdrowej i zajmującej, zostały uwieńczone powodzeniem. Pismo nasze, jakkolwiek młode, zdołało już sobie pozyskać uznanie i wielką poczytność wśród szerokich sfer społeczeństwa. Cieszac się z tak pomyślnego rozwoju, dziękujemy P. T. Czytelnikom za dotychczasowe poparcie. Wydawnictwo „Życia i Powieści" będzie w dalszym ciągu dokładać wszelkich usiłowań, aby urozmaicić jak najbardziej treść i wzbogacić dział illustracyjny. Mając ten cel na oku, postaraliśmy się o pozyskanie dla redakcyi naszej całego szeregu wybitnych sił literackich. Rozszerzony będzie znacznie dział „humoru i satyry", wprowadzone zostaną nowe działy, jako to: dział mód, poradnik kosmetyczny, dział gospodarstwa domowego, dział ocen grafologicznych.

W najbliższym czasie rozpoczynamy druk sensacyjnej, niesłychanie interesującej powieści znanego pisarza francuskiego Maurycego Leblarca po dtyt.:

„POSŁANNICTWO Z PLANETY WENUS"

Powieść ta, sięgająca śmiało w sferę tajemnic wszechświata, od pierwszego rozdziału przykuwa uwagę czytelnika, aby przez cały czas trzymać ją w najwyższem napręzeniu.

Ponadto drukować będziemy świetną powieść tłómaczoną z angielskiego pióra Toma Gallona p. t.:

„CZŁOWIEK O JEDNEM OKU".

Jeden z wybitnych autorów polskich pisze specyalnie dla „Życia i Powieści" **powieść osnutą na tle najnowszych wydarzeń.**

Prócz tego w roku 1920 ukaże się na łamach naszego pisma **powieść humorystyczna, tryskająca dowcipem i wesołością.**

Ponadto wydawnictwo „Życia i Powieści" dla stałych prenumeratorów przygotowało **szereg pięknych, cennych premij.**

BEZPŁATNE PREMIE „ŻYCIA I POWIEŚCI".

Dla prenumeratorów rocznych:

Wszyscy prenumeratorzy roczni otrzymają **bezpłatnie dwie piękne książki, a to do wyboru:**

Sensacyjna powieść Gastona Leroux

„CZŁOWIEK, KTÓRY POWRÓCIŁ Z TAMTEGO ŚWIATA".

Wspaniała fantastyczna powieść Piotra Benoit.

„TAJEMNICE SAHARY" (ATLANTYDA).

Niesłychanie zajmująca powieść

Jerzego Malewicza

„DZIEWCZĘ Z BUZIĄ JAK MALINA".

Prócz tego każdy prenumerator roczny może zamieścić **bezpłatnie jedno drobne ogłoszenie (10 wierszy) i przysłać próbkę swego pisma do bezpłatnej oceny grafologicznej.**

Na opakowanie i przesyłkę poleconą książek należy nadesłać 2 K (1·40 M.).

Dla prenumeratorów półrocznych:

Wszyscy prenumeratorowie **półroczni otrzymają bezpłatnie**

„SKARBIEC HUMORU POLSKIEGO"

wspaniały zbiór dowcipów, humorystycznych wierszy, wesołych opowiadań, humoresek.

Na przesyłkę poleconą „Skarbca humoru polskiego" nadesłać należy 2 K

DLA WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW „ŻYCIA i POWIEŚCI".

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma **bezpłatnie** początek wspaniałej powieści Aleks. Dumasa:

„HRABIA MONTE CHRISTO"

oraz początek niesłychanie interesującej powieści Stevensona:

„SOBOWTÓR ALICYI".

ZNIŻKI DLA PRENUMERATORÓW PÓŁROCZNYCH I KWARTALNYCH.

Każdemu preneumeratorowi półrocznemu i kwartalnemu przysługuje znaczna zniżka przy nabywaniu książek, przeznaczonych na premie dla prenumeratorów rocznych.

Od 1 stycznia 1920 r. z powodu podrożenia klisz, papieru i znacznej podwyżki cennika drukarskiego, prenumerata kwartalna „Życia i Powieści" wynosi 20 K, 14 Mk., prenum. półroczna 38 K, 27 Mk., prenum. roczna 75 K, 53 Mk., Pojedynczy zeszyt w drobnej sprzedaży kosztuje 3 K 50 h, 2·50 Mk.

LOTERYA „ŻYCIA I POWIEŚCI"

Wszyscy Czytelnicy będą mogli wziąć udział w loteryi, dla której wydawnictwo „Życia i Powieści" nabyło wspaniały obraz pendzla jednego ze znanych malarzy. **Bliższe szczegóły o sposobie przprowadzenia loteryi będą podane w numerze najbliższym „Życia i Powieści".**

Uwaga.

Niektórym agencyom musieliśmy wstrzymać wysyłkę naszego pisma z powodu zalegania z zapłatą.

Podajemy to do wiadomości naszych P. T. Czytelników, aby wiedzieli, które agencye należy popierać.

Zawiadamiamy Szan. Czytelników naszego pisma, że premie przeznaczone dla prenumeratorów, którzy zapłacili roczną lub półroczną prenumeratę, zaczniemy wysyłać zaraz po zbroszurowaniu książek, najdalej z końcem b. m.

Prenumeratorzy, którzy zechcą nabyć książki poza premią, mogą je otrzymać na następujących warunkach:

1) „Dziewczę z buzią jak malina" za nadesłaniem got. w kwocie K. 5.—

2) „Człowiek, który powrócił z tamtego świata" za nadesłaniem gotówki w kwocie K. 6.—

3) „Tajemnice Sahary" za nadesłaniem gotówki w kwocie K. 6.—

4) „Skarbiec humoru polskiego" za nadesłaniem gotówki w kw. K. 4.

Ceny rozumieją się z opakowaniem i portem poleconem.

Tajemnice ręki ludzkiej.

(Objaśnienie do ilustracyi na str. 1-ej).

Nietylko twarz ludzka jest zwierciadłem przeżyć duchowych, skłonności i temperamentu. Także i na ręce żłobią się stosownie do wrodzonego usposobienia i przeżywanych wrażeń odpowiednie linie. Ten, kto umie w tych liniach się oryentować, może czytać charakter człowieka i historyę przeszłości z jego dłoni. Różnego rodzaju wróżki i chiromantki, nadużywające sztuki czytania z ręki dla celów wyzysku i oszustwa, zdyskredytowały kunszt chiromancyi, który jednakowoż ma swoje naukowe uzasadnienie, jak tego dowodzi słynne dzieło francuskie „Tajemnice ręki ludzkiej". Znany pisarz Aleksander Dumas (syn) zajmował się pilnie chiromancyą i on to kierował pierwszymi krokami znanej wróżbiarki paryskiej pani de Thebes. Illustracya nasza uwydatnia zasadnicze linie ręki ludzkiej.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

8 (Dalszy ciąg).

Następne numery przyniosły wiadomość, że razem z dzieckiem zniknęła piastunka jego, uderzająco piękna dziewczyna. Prawdopodobnie złoczyńcy, obawiając się jej zeznań, porwali ją także i więżą gdzieś w ukryciu.

— To jest dobra myśl — przyznał Traddleton — teraz możemy być pewni, że nasi ludzie przetrząsając domy i mieszkania, będą zwracali uwagę również i na dorosłe dziewczęta. Albowiem ja sobie postanowiłem przeszukać jak najdokładniej całe miasto. Pewność w tym kierunku, że panny Irving niema w Nowym Jorku jest dla nas również cenną, jak dowód, że się znajduje w mieście... Zresztą koło zostało wykreślone... Obejmuje ono cały obszar od 5 Alei aż do miejscowości leżących w promieniu dwu lub trzygodzinnej odległości jazdy automobilem; wszystkie domy, wszystkie wille, stojące pustką lub niedawno wynajęte, będą przetrząśnięte. Nad wszystkimi prywatnymi i publicznymi zakładami, takimi, jak np. sanatorya, zostanie rozciągnięta kontrola...

— Robi to na mnie takie wrażenie, jakbyśmy szukali igły w stogu siana — westchnął Reginald. — W każdym razie nie traćmy czasu...

Reginald mógł śmiało powiedzieć, że jeżeli chodzi o niego, to istotnie czasu nie marnuje... Ku wielkiemu jego zdziwieniu „Alicya Nr 2" z łatwością dała się nakłonić do pójścia do fotografa. Umyślnie, choć z pewną wewnętrzną niechęcią, nalegał na to, by młoda dziewczyna przybrała takąsamą pozę, w jakiej nawykła fotografować się prawdziwa jego narzeczona... I kiedy Traddleton otrzymał z rąk Reginalda podobiznę rzekomej Alicyi, podobieństwo było wprost zdumiewające...

— Jednakowoż jest pewna różnica — zauważył Regie. — Jeżeli się te obie twarze dokładnie obserwuje, widzi się, że jedna to buzia szczęśliwego, beztroskiego dziewczęcia, podczas gdy ta nowa Alicya przy bliższej obserwacyi robi wrażenie, jak gdyby, pomimo swej młodości, już dużo i to przykrych rzeczy przeszła!...

— Grey, pan masz rzeczywiście racyę!... Czy ci nie przychodzi jednak na myśl, że...

— Rozumiem, co pan chce powiedzieć... Gdyby moją narzeczoną obecnie sfotografowano, to także niezawodnie wydałaby się zmienioną... Ale te zmiany u niej odzwierciadlałyby się w oczach, natomiast u tej dziewczyny ten ślad przeżytych cierpień przenika całą jej istotę!... To leży w jej duszy...

Traddleton w zadumie potrząsnął głową:

— Cóż powiedziała ta młoda dama, kiedy jej pan zaproponował, aby poszła do fotografa?

— Przyjęła moją prośbę dosyć obojętnie. I to właśnie stanowi nowy dowód, że jest ona tylko zręczną aktorką!... Alicya dopiero niedawno kazała sobie zrobić fotografie, specyalnie przeznaczone dla mnie i byłaby mnie z pewnością wyśmiała, gdybym jej zaproponował powtórne fotografowanie. Ale ta oczywiście nie wiedziała o niczem... Nie zaprotestowała ani słówkiem, kiedym powiedział, że już te stare pensyonarskie fotografie są niewystarczające... Powiedziała tylko, że nie lubi się często fotografować, lecz dla mojej przyjemności może to zrobić... Aha, jeszcze jedno... obiecała mi, że zaręczyny zostaną za osiem tygodni publicznie ogłoszone...

Aaa! — wyrzekł Traddleton.

Po chwilowej pauzie milczenia detektyw zauważył ze spokojem:

— Panie Grey, proszę mi kazać zrobić 1000 odbitek tej fotografii... Roześlę je wraz z odpowiednimi okólnikami do stu dyrektorów policyi... Może któremu z nich ta twarz jest znaną... Gdyby się nam udało wpaść na trop, skąd przybyła ta druga Alicya, to byłby to ogromny krok naprzód...

— Ale jak jeszcze daleko do celu — westchnął Grey.

Traddleton spojrzał na niego z ogromnem współczuciem. Pomimo krótkiej znajomości, młodzi ludzie polubili się serdecznie...

— Wiesz pan co, panie Grey — rzekł detektyw — mam dla pana czynność... Możeby pan dopomógł mi zainstalować szpiega w domu Irvingów?

Reginaldowi rozjaśniła się twarz:

— Nareszcie daje mi pan coś do roboty — zawołał radośnie. — I któż to ma być? Kobieta, czy mężczyzna?

— Najlepiej i kobieta i mężczyzna... Gdybyśmy tam mogli wkręcić przezemnie wybraną pokojówkę i pod jakimś godziwym pozorem przemycić nowego służącego, to możebne, iż rzecz cała poszłaby gładziej...

— Zrobi się!... zrobi się!... — zapewniał Reginald skwapliwie. — Niech pan tylko wynajdzie mi tamtych dwoje, a o wolne posady ja się już postaram. Proszę mi zostawić czas do jutra. Potem zdam panu sprawę z wyniku moich usiłowań...

ROZDZIAŁ IX.

Nowi służący.

— A! Regie!... Cieszę się bardzo, że cię widzę. Cóż cię dzisiaj do mojego biura sprowadza? — rzekł przyjaźnie James Irving, wstając od biurka, aby przywitać wchodzącego do pokoju Reginalda Greya.

— Chodzi tu o jedną rzecz poważną, dotyczącą Alicyi!...

— Alicyi?...

— Uważam sobie za moją powinność zakomunikować panu, panie Irving, że zauważyłem, iż w towarzystwie Alicyi jestem nieraz na ulicy szpiegowany. Przyjaciel mój John Fitzmourice zwrócił mi także uwagę, że jakieś podejrzane indywiduum snuje się często koło pańskiego domu... Wczoraj tosamo indywiduum śledziło mnie z pewnego oddalenia, kiedym stąd odchodził...

— Hm... — mruknął Irving, marszcząc chmurnie czoło.

— Mister Irving, sądzę, że musimy coś przedsięwziąć...

— Tak, bezwątpienia. Sądzisz więc, że policya...

— Na miłość Boską, tylko nie to!

— I jabym wolał uniknąć rozgłosu. Więc jak ty to sobie wyobrażasz?

— Niedawno, kupując nowy automobil, mówił pan, że przydałby się nowy służący, któryby zarazem mógł pełnić obowiązki szofera.

— Powiedziałem to. I cóż z tego?...

— Nic. Proszę tylko paniom nie mówić o niczem, bo pocóż je trwożyć? Szczególnie przed Alicyą należy rzecz całą zataić, ona i tak zdenerwowana. Coby pan jednak na to powiedział, gdyby zainstalować jakiegoś godnego zaufania człowieka, który robiłby niby to, niby owo, a właściwie pilnowałby specyalnie swej młodej pani. Postarałbym się o takiego człowieka, gdyby pan zgodził się na mój projekt.

— Ależ oczywiście!... To doskonała myśl!... Proszę mi posłać zaraz tego człowieka. Jestem ci ogromnie wdzięczny, Regie!...

* * *

Harriet Goodnow, zręczna i pilna pokojówka angielska, pozostająca już od dwu lat w służbie panny Irving, otrzymała pismo z zawiadomieniem, że osoby, urodzone w kwietniu, powinny kazać sobie stawiać horoskop w maju lub najpóźniej w czerwcu i że adresatka o ile zjawia się w czwartek u pani Dalmenay, zapłaci bardzo skromną kwotę za wróżbę.

Harriet, osoba o wielce romantycznem usposobieniu, postanowiła w najbliższy czwartek popróbować szczęścia. (C. d. n.).

Piosnka o Komendancie

OR-OTA.

W pierwszy dzień świąt tegorocznych Teatr Polski wystawił pełen prostego wdzięku utwór znakomitego poety, Artura Oppmana (Or-Ota), osnuty na tradycyach szopki ludowej.

Burzę entuzyazmu wywołał legionista (p. Byliński), który wypowiedział z zapałem piękne zwrotki w najmilszym narodowym rytmie na cześć naszego Komendanta.

Jak my, w szarym mundurzyku,
A nie w amarancie,
W bój nas wiedziesz na koniku,
Panie Komendancie!

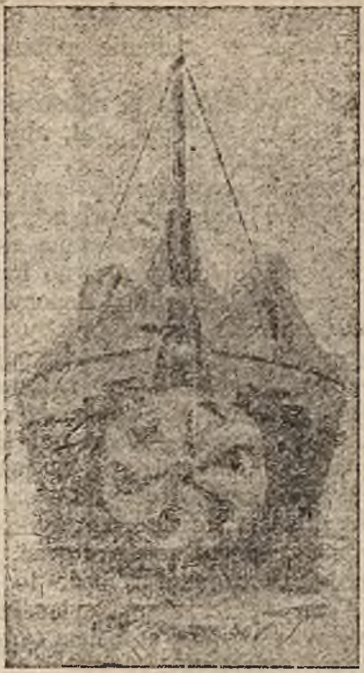
Gęsto kule w skroń celują,
Krwawe pole dymi,
Idą chłopcy, podśpiewują,
Bo Komendant z nimi!

Już ci za nic, biały ptaku,
Korony i mitry,
Won moskalu! giń prusaku!
Precz, rakuzie chytry!

Wstydź się Zosiu, w głos zawodzić,
Świecić łez brylantem;
Idę Polskę oswobodzić
Z naszym Komendantem!

Kędy w przestrzeń wzrok się wzbija,
Tam mogiła polna,
Lecz dziś, Polsko, tyś niezyja,
Tylko nasza! wolna!

Hej, wy groby życiem żyzne,
Do apelu stańcie:
Bóg ci zapłać za Ojczyznę,
Panie Komendancie!



Rozbijacz skał.

Rafy, czyli skały podmorskie, stanowią jedno z największych niebezpieczeństw dla okrętów... Ileż to statków szło już na dno, rozbiwszy się o skały podmorskie! Postępy nowoczesnej techniki doprowadziły do wynalezienia t. zw. „rozbijacza skał“, który przy pomocy specyalnie skonstruowanego mechanizmu, rozbija rafy, usuwając w ten sposób groźną przyczynę tylu katastrof.

* * *

Znalezienie żywego potwora przedpotopowego.

Żywy „brontozaurus“. — Przygoda myśliwego. — Ekspedycya naukowa.

Angielski świat naukowy jest obecnie bardzo żywo zainteresowany wiadomością o znalezieniu żywego potwora przedhistorycznego „brontozaura“.

Według doniesienia z Bulawayo — Belgijczyk Gapelle, który dopiero co powrócił, widział na własne oczy jakieś dziwne nieznane mu zwierzę. O ile sądzić można z opisu — tajemnicze zwierzę-potwór, należy do rodziny „rhinocerzos“, cały pokryty jest wielkiemi, grubemi łuskami i posiada gruby ogon, przypominający ogon kangura. Na pysku zwierzęcia widnieje róg, a na jego grzbiecie garb.

Gapelle oddał kilka strzałów do tego potwora, ale nie trafił. Zwierzę obróciło tylko głowę i zniknęło w bagniskach. Amerykański Instytut Smitsona zorganizował wyprawę naukową, mającą na celu znalezienie potwora. Ponieważ jednak członkowie tej ekspedycyi ulegli katastrofie kolejowej, więc musi się na razie czekać na zorganizowanie nowej wyprawy. Angielscy uczeni odnoszą się z pewnem niedowierzaniem do twierdzenia Gapella, który utrzymuje, że spotkane przezeń zwierzę należy do rodziny przedpotopowych „brontozaurów“.

*

Fizyologia głodu.

Jak można wnosić z codziennej obserwacyi, głód nie oddziaływa na wszystkie zwierzęta i ludzi jednakowo. Zwierzęcy organizm, wystawiony na głód, musi żyć z własnych swoich zapasów: spala on swój tłuszcz i swoje tkanki muskułów, a w następstwie w braku tychże marnieje. A ponieważ zapasy te i warunki życiowe u różnych zwierząt i wogóle indywiduów są różne, odpowiednio do tego przeciąga się i proces umierania.

Mniejsze zwierzęta są w stanie tylko przez krótki czas znosić brak pożywienia. Wróbel np. ginie już po dwóch dniach, świnka morska po sześciu, zając po czternastu, kot dopiero po trzydziestu pięciu dniach zupełnego nieodżywiania się. Naturalnie stan zdrowia poszczególnego zwierzęcia odgrywa tu znaczną rolę. Wyżej przytoczone cyfry, stosują się do organizmów o zdrowotności średniej. W niejednym wypadku kot potrafi 61 dni wytrzymać, nie otrzymując żadnego pożywienia.

Znamienna jest pod tym względem różnica pomiędzy t. zw. ciepłokrwistymi a zimnokrwistymi stworzeniami. Istoty ciepłokrwiste posiadają własną temperaturę, która pod wpływem otoczenia może zniżyć się tylko do pewnej określonej normy, warunkującej zachowanie przy życiu zwierzęcia.

Istoty zimnokrwiste natomiast np. płazy i amfibie, mają mniej więcej temperaturę otoczenia i wraz z otoczeniem zmieniają ją.

Niektóre zwierzęta ssące, w porze zimowej popadające w sen, jak np. nietoperz i inne, można po części zaliczyć do zimnokrwistych, gdyż temperatura ich w czasie snu zimowego spada i równa się prawie temperaturze otoczenia. Ponieważ proces spalania się w ciele zimnokrwistych i zwierząt znajdujących się w stanie snu zimowego odbywa się bardzo powoli, przeto i tkanki ich spalają się w nieznacznej mierze. Z tego powodu posiadają one niską temperaturę i mogą długi czas obyć się bez pożywienia. Pewne gatunki płazów mogą rok, dwa, trzy lata nie przyjmować pokarmu, pomimo tego zachowują się przy życiu, a nawet nie tracą wcale na wadze. Podczas gdy istoty o niższym ustroju mogą znieść zmniejszenie swej wagi o 75%, wyżej stojące organizmy umierają już przy utracie $^4/_{10}$ części swej pierwotnej wagi.

Człowiek nie może naturalnie dla celów eksperymentalnych wstrzymywać się przez dłuższy czas od przyjmowania pokarmów, życie atoli nastręcza wiele sposobności, by wypróbować wytrzymałość zdrowego, ludzkiego ciała na brak pożywienia. Można to zauważyć u tych, którzy cierpią skrajną nędzę, albo podczas katastrof

kopalnianych lub na morzu. Stałe nieprzyjmowanie pokarmu prowadzi, jak wogóle wszelkie nadwyrężenie organizmu, do halucynacyi i delirium. Delirium na podłożu głodowem, ma następujący przebieg: Czynności duchowe dochodzą najpierw do wysokiego napięcia, a przedewszystkiem fantazya. W dalszem stadyum występuje rozdrażnienie, a nawet okrucieństwo. Potem następuje utrata pamięci, olbrzymie osłabienie woli u danej osoby, która nie może już oprzeć się występującym popędom. Prócz tego sny, iluzye, halucynacye tak w dzień, jak i w nocy. Szczególnie charakterystyczne są halucynacye przy delirium głodowem. Są one przeważnie złudzeniami, wzbudzającemi grozę, choć i częstokroć można obserwować przyjemne halucynacye, jako zjawisko towarzyszące stałemu głodowi. Wielu ludzi ocalonych z kopalnianych katastrof, opowiadało, że mieli ruchliwe, jasne, przeważnie przyjemne wizye. To zastanowienie czynności duchowych należy przypisać samozatruciu systemu nerwowego.

Kolenda z r. 1863.

na nutę „W żłobie leży“.

W polskich sercach, niby w grobie,
Leży dziś nasz Pan i Król —
My dziś radość czujem w sobie
On nam w radość zmienia ból!
Jego miłość to sprawiła,
Że nas wszystkich zjednoczyła
W jeden węzeł, w jeden ślub —
Więc dzień zbawczy przybliżony,
Głaz grobowy odwalony
I w kolebkę zmienion grób.

*

Już nie w grobie, ale w żłobie
Z Bogiem wstaje polski ród —
Jakby skrzydła ręce obie
Wznosi — wielbiąc niebios cud.
Śmiało — śmiało Boże ptasze
Oblećcałe plemie nasze,
Zanieś smętnym dobrą wieść,
Że nam w sercach Bóg się rodzi
Gwiazda wschodzi — Polska wschodzi
Chwała Bogu — Polsce cześć!

*

Oto z nami tułaczami
Cały klęka polski kraj,
Co chcesz Panie uczyń z nami,
Ale Polsce wolność daj.
Przyjmiem chętnie z Twojej ręki
Wszystkie rany, wszystkie męki,
Ale Polsce męki skróć.
Boże Ojców, Boże wielki
Weź krew naszą do kropelki,
Ale Polsce wolność wróć!

Napisał śp. **J. Wiewiorowski.**



José Garinaio król „cowboy'ów“.

José Garianio z powodu swej szalonej wprost odwagi i niezwykłej zręczności zyskał sobie miano „króla cowboyów“. Na koniu jeździ on, jak nikt inny, zdobywając ze swym rumakiem najcięższe przeszkody. Ilustracya nasza przedstawia niezwykle śmiały skok przez przeszkodę.

Autosuggestya a epidemie.

Silna wola działa cuda. — Dobry humor najskuteczniejszym środkiem leczniczym. — Kichajcie!...

Stale grasujące w kraju epidemie tyfusu i odry ogół poważnie zaniepokoiły. Nie od rzeczy też będzie zająć się kwestyą, o ile autosuggestya może sprzyjać rozwojowi chorób w jednostce i masach, oraz o ile autosugestyą i silną wolą można bieg choroby zmniejszyć i przebyć ją szczęśliwie.

Znaną jest rzeczą, że istnieje w Indyach angielskich pewna kasta ludzi, zwanych Yogami, którzy to myśliciele przez stałe ćwiczenia psychofizyczne zdobyli panowanie nad swym organizmem, a tem samem i nad swem otoczeniem. Nie mówiąc już o różnych cudach czy sztuczkach, faktem jest, że w intencyi czynienia dobrych uczynków pielęgnują oni chorych na dżumę z całem poświęceniem się. Gdy który z nich zarazi się chorobą i czuje początki jej w sobie, silną wolą reguluje bicie serca i obieg krwi, czyniąc to głównie przez regulowanie oddechu, i tym sposobem przez krótki czas sam siebie uzdrawia. Podobne sposoby są już i u nas znane. W czasie silnej „hiszpanki“ w ubiegłych latach, jeden z żołnierzy austryackich, zarażony tą chorobą, będąc już w niebezpiecznym stanie grożącym śmiercią, silną wolą zmniejszył oddech do minimum, myśląc przytem o regularnem biciu serca i w przeciągu dwóch godzin uśmierzył chorobę tak, że na drugi dzień mógł już się oddać zwykłym obowiązkom. Bezsprzecznie, że podobne eksperymenta może czynić człowiek o silnej woli, a pewnem jest, że tylko tacy ludzie dochodzą sędziwego wieku.

Wiele indywiduów posiada w większym stopniu od innych wrażliwość, inni zaś w większym stopniu odporność organizmu na zarazki różne. Człowiek wyczerpany, smutny, przygnębiony, łatwiej zaraża się chorobą lub ulegnie przeziębnięciu, niż człowiek zdrowy, wesoły, o pogodnym nastroju. To też tylko pełnia siły żywotnej i odporności organizmu daje gwarancyę szczęśliwego uniknięcia choroby. Tu autosuggestya ma wdzięczne pole do działania. Bo jakie myśli, taki człowiek. Przygnębienie psychiczne, beznadziejność, nędza wszelkiego rodzaju, to pewna droga do choroby. Całą siłą trzeba się bronić przed tem. Mimo, że każda jednostka odmiennie może przyjąć suggestyę, jednak są zasadniczo pewne środki, które jednako działają na organizm. Bezpośredniem prawem jest to, że przyjmowanie dobrego czy złego dla ciała, jest równoznaczne z zaczerpnięciem oddechu, zaś wydech oznacza siłę na zewnątrz, jest niejako czynem, odporem.

Jak to działa bezpośrednio na człowieka, to można zaobserwować w przystępie nagłego strachu. W krytycznym momencie należy wprost naczerpnięte pełną piersią powietrze, szybko oddać wydechem, a po parorazowym kolejnym tym eksperymencie natychmiast następuje pewność siebie i wraca moc ciała i odwaga.

Ostatnio propaguje znana londyńska lekarka dr. Oktawia Lewin, dla chorób nosowych jak najczęstsze kichanie,— zapewniając tą drogą ludzkości zdrowie, wesołość i szczęście. Sposób ten ma właśnie ugruntowanie w tem, cośmy poprzednio rzekli, jak również i to, że kichając usuwamy z drogi oddechowej mnóstwo chorobo-twórczych bakcylów.

* * *

EMIL MARRIOT.

DWAJ PRZYJACIELE.

Przełożył Jan Sobota.

— A więc koniec blizki?

— Tak jest. Chłopiec pożyje jeszcze tylko kilka tygodni, a może i dni. Suchoty w najwyższym stopniu! Tu już nie ma ratunku.

— I ja mam draba tego cierpieć w domu moim i nocami nie sypiać z powodu jego kaszlu? Skąd do tego przychodzę?

— Skąd pan do tego przychodzi? Hm! Czyż ten młodzieniec nie jest pańskim synem?

— Pfuj! Do dyabła! — Człowiek, który słowa te powiedział, plunął ze złością. — To syn żony mojej, z pierwszego małżeństwa. Żona dawno zmarła, zostawiając mi chłopca na karku. Miła przyjemność, żywić takiego wyrodka.

— Poślij pan dziecko do szpitala powszechnego. Tu ma pan moją wizytówkę. Powołaj się pan na mnie: mały napewne znajdzie tam pomieszczenie.

Obaj stali w podwórzu biednego domu, znajdującego się na przedmieściu Wiednia. Jeden z nich był lekarzem ubogich, drugi, niezgrabny, ordynarnie wyglądający mężczyzna, którego ochrypły od wódki głos podobnie był odstręczający jak twarz, nosząca na sobie piętno fizycznego i moralnego upadku. Lekarz zmierzył wstrętną postać wzrokiem głębokiego obrzydzenia, ukłonił się i szybko oddalił. Tamten plunął raz jeszcze i powrócił na podwórze.

Zaraz potem wypełzła z któregoś kątów posępnego domostwa chorowita, zbyt wybujała postać. Był to w łachmany odziany, wyschnięty jak szkielet chłopiec, o twarzy bladej, bez kropli krwi i niezwykle długich rękach. Przysłuchiwał się rozmowie bu mężczyzn. O nim była mowa. Musiał tedy umrzeć.

Mężczyzna na podwórzu rzucał się i klął, kopnął psa łańcuchowego, który wylegiwał się przed budą, nasadził następnie na głowę brudną czapkę i wyszedł z domu. Mały kaleka odetchnął swobodniej. Mężczyzna poszedł do szynku i nie tak prędko powróci. Tę chwilę wolności wykorzystać chciał mały, by pożegnać się z tem, co mu najdroższem było w tem życiu. Powlókł się ku psiej budzie i upadł na kolana przed zwierzęciem, spoglądającem nań smutnemi oczyma. Ramiona oba zarzuciło dziecko na szyję psa i przycisnęło twarz do skudlonej brudnej sierści.

Umrzeć! Życie takie, jakiem jego było, opuszcza się bez smutku. Nie było istoty, któraby go kochała, nawet matka własna. Matka, biedna wyrobnica, owdowiawszy, wyszła powtóre zamąż za handlarza drzewa, pijaka, pozbawionego wszelkich szlachetniejszych uczuć. Nienawidził dziecka i przez to chłopak stał się ciężarem matce swej. Matka zmarła, gdy Jerzy zaledwie lat dziesięć liczył. Nie odważyła się nawet na łożu śmierci prosić męża-opoja o względy nad synem. Od śmierci rodzicielki pięć lat już upłynęło. Zubożawszy zupełnie, tracił ojczym wprost zmysły z wściekłości... i złość swoją wywierał na dziecku, które zaprzągnięte do wykonywania najcięższych robót, w nagrodę umierało z głodu.

O! piękny czasie szkolny — rok już temu, jak minąłeś bezpowrotnie. Czasami, gdy ojczyma w domu nie było, a robota skończona, wyjmował chłopak książki, podarowane przez nauczyciela, przy rozstaniu się z nim, i czytał... czytał z uwagą i zachwytem. Zawsze obok psa łańcuchowego, w budzie którego Jerzy ukrywał tych kilka tomów, ponieważ ojczym o tem „głupstwie“ wiedzieć nie powinien... Wiernie strzegł pies ubogiego skarbu chłopca.

Dziś jednakże Jerzy nie myślał o swych książkach. Myślał tylko o psie. Cierpieli wspólnie — on, biedny chłopak często z niecierpliwością, pies zawsze z uległością. Ale dla psa był zawsze dobry. Silnie, silnie zaciskał chude rączyny naokoło szyi zwierzęcia. Czy nie był Sułtan przypadkiem głodny? Dziś znów nic innego nie otrzymał, prócz łup ziemniaczanych. Ustawicznie na łańcuchu, nie mógł uganiać jak inne psy, dzień i noc zniewolony strzedz mienia pana swego, który w nagrodę za to głodził go, a gdy podpity wracał do domu, kopał nogami i rzucał w niego wszystkiem, co mu w rękę wpadło. Musi przecież gniew swój na kimś wywrzeć, twierdził łotr, a do tego nie miał nikogo, prócz psa tylko i dziecka. Na Boga! Jerzy często naumyślnie nasuwał się na oczy ojczymowi, aby w niego godziły razy pijanicy, byle jednakże pies był ochroniony. Tak też psu wieść się będzie, gdy jego jedyny przyjaciel legnie w grobie. Chłopak spazmatycznym wybuchnął płaczem. Jakże biednym i opuszczonym będzie! Teraz mógł przynajmniej psu w tylu wypadkach przyjść z pomocą. Z pośród nich obu, ów bardziej godzien jest litości, a gdy on odjedzie, w niebie jeszcze dręczyć się będzie myślą: „On tam sam i mnie oczekuje. Mnie tu dobrze. Ale on cierpi teraz za dwu, głoduje również za dwu“...

Żałośnie skonał pies i lizał rękę chłopca. Dziecko spoglądało przed siebie, głucho łkając.

* * *

Następnego dnia, podejrzanie wyglądający pijanica, przyniósł umierającego, okaleczonego, krwią zbroczonego chłopaka do powszechnego szpitala.

— Nic za niego nie płacę, — rzekł mężczyzna i złem okiem zmierzył chłopca. — Ani halerza! Nic mnie nie obchodzi! Z litości draba tego żywiłem, a na podziękowanie, ta złośliwa kreatura, kazała oprawcy zabić psa mojego. Jeśli panowie nie zechcecie go zatrzymać, w takim razie wyrzućcie na ulicę. Zabiję go, jeśliby się ośmielił do mnie powrócić.

Odebrano mu dziecko i zaniesiono do łóżka. Poraz pierwszy w swem życiu, znalazł się Jerzy na czystej pościeli. Jak pięknie to było, ciężko zachorować, tutaj cicho leżeć i oczekiwać śmierci. Nie będą go bili, głodzić nie będą... trwoga wszelka i bieda minęły. I dlaczego też ludzie boją się śmierci? Ksiądz, który wysłuchał jego ostatniej spowiedzi i łaskawie i dobrotliwie z nim rozmawiał, zapytał wkońcu: Czy rzeczywiście ze złości kazałeś zabić psa twego opiekuna?

— O nie! — wykrzyknął Jerzy i łzy popłynęły mu z oczu. — Uczyniłem to z miłości psa. Bezemnie stałby się nieszczęśliwy i dlatego też pomyślałem sobie: najlepiej będzie dla niego, gdy razem opuścimy ten świat. Chętnie własnemi rękoma byłbym go zabił... lecz jakże mogłem to uczynić? Wymęczyłbym go tylko , więcej niżeli ten człowiek, który się na tem rozumie. Lecz towarzyszyłem mu podczas tej jego ostatniej drogi i przemawiałem doń, zaklinałem i błagałem tego człowieka, aby wykonał to szybko, aby mego kochanego psa zabił, najmniej zadając mu bólu...

Płacząc, ukryło dziecko twarz swoją.

— I prędko też skończył! — dodało po cichu, — dzięki Bogu, nikt nad nim już się znęcać nie będzie.

Ksiądz położył rękę na głowie chłopaka.

— Coby też z tego biednego stworzenia wyrosło, gdyby je były miłość i starania otaczały! Ileby szczęścia wokół siebie rozsiewało to dobroci pełne, dziecięce serce i jak szczęśliwem samo by być mogło! — myślał przy tem.

Tuż przed swym zgonem, wręczył chłopak duchownemu kilka obdartych książek, które ukrywał pod poduszką. — Te książki do mnie należą — szeptał. — Nie potrzeba mi ich już więcej; proszę je dać jakiemu ubogiemu dziecku, które tak biedne mjest i tak chętnie czyta, jak ja.. A może to dziecko czasami pomyśli o mnie życzliwie.

Skąpo tlejąca już iskra życia, dopalała się szybko. W przedśmiertnej agonii, po raz pierwszy, przyniosła mu ze sobą gorączka w darze piękne, przyjemne obrazy. Otworzył ramiona, uśmiechał się i szeptał: — Jak tu jasno, jak ciepło! I nie ma więcej dyabłów... Czyż nie jestem już na ziemi? A tam biegnie pies mój... Wpuszczono cię tu pomimo, że ludzie dla siebie tylko niebo zachować pragnęliby? Oniby chcieli

dla siebie wszystkiego, ziemię i niebo!... Ale ci, co pierwszymi byli, ostatnimi będą...

Umilkł, opadł na poduszki i skonał. Umarł, i uwolniony był z więzienia, które my życiem zowiemy.

Zima na froncie.

Śnieg prószy i prószy... Kurzawa
Dywan siwy pod stopą się kruszy,
Przed oczyma świetlany sen stawa,
Śnieg prószy i prószy... Kurzawa

Śnieg leci i leci... Znów burza.
Pocisk chwilę na niebie zaświeci,
Złota gwiazda się z mroku wynurza.
Śnieg leci i leci... Znów burza.

Śnieg siecze i siecze... Zadymia...
Noc miarowo, bez końca się wlecze,
Śni się Polska rozległa, olbrzymia.
Śnieg siecze i siecze... Zadymia...

Śnieg sypie i sypie... Mogiły...
Łza zakręci się w oku i szczypie,
Zimy futra nas białe okryły.
Śnieg sypie i sypie... Mogiły...

Śnieg wali i wali... Wiatr hula...
Gniewnie z armat żołnierze zagrali,
Lecą kule jak pszczoły do ula,
Śnieg wali i wali... Wiatr hula...

Śnieg pada i pada... Już dnieje...
Za okopem śmierć włóczy się blada,
Czasem któryś się z bólu zaśmieje,
Śnieg pada i pada... Już dnieje...

Śnieg rośnie i rośnie... Dal biała...
Tulim, Ziemio, się do Cię miłośnie,
Bo żeś wolna z krwi naszej powstała!
Śnieg rośnie i rośnie... Dal biała...

Kazimierz Czeremski.

Śmierć w godzinę ślubu.

Oryginalny wypadek pod Częstochową. — Przygotowania do wesela. — Ślub naznaczony na godzinę 3 popoł.— Panna młoda ubiera się do ślubu. — Goście weselni oczekują. — Śmierć oblubieńca w godzinę ślubu.

Czestochowa, 8 stycznia.

Na Błesznie pod Częstochową zdarzył się wielce tragiczny wypadek. Oto miało się tam odbyć wesele jednego z robotników. Wszystko już było przygotowane, przybyli goście weselni, a panna młoda ubierała się do ślubu.

Ceremonia zaślubin odbyć się miała w kościele o godzinie 3 popołudniu. Nagle pan młody począł niedomagać i położył się do łóżka.

Po upływie pewnego czasu, gdy zegar ścienny wybijał właśnie godzinę trzecią po południu, pan młody skonał.

Jakież było przerażenie gości weselnych, jakaż rozpacz panny młodej, gdy ujrzała stygnące zwłoki tego, z którym miała o tej właśnie godzinie połączyć się w kościele węzłami dozgonnej miłości.

W białym welonie na głowie stanęła oblubienica nad zwłokami oblubieńca, a z oczu jej popłynęły na zmarłego wielkie i liczne łzy.

Dom panny młodej stał się miast radości — domem żałoby.

O wypadku tym krążą najrozmaitsze domysły. Powodem śmierci był według zapewnień, udar sercowy.

Kłopoty kandydatów do związku małżeńskiego.

W czasach dzisiejszych, gdy kwestya czy małżeństwo nie jest luksusem, staje się poważnem zagadnieniem, chęć wstąpienia w związki małżeńskie natrafia niekiedy na iście groteskowe przeszkody. Niebywała drożyzna najniezbędniejszych przedmiotów urządzenia, wytwarza bowiem czasami sytuacye, które możnaby nazwać farsowemi, gdyby nie to, że kończą się często tak boleśnie.

W jednem z miast małopolskich zdarzył się niedawno następujący autentyczny fakt: Bardzo trzeźwo na świat patrzący młodzieniec, kandydat adwokatury, zaręczył się z panną, która uchodziła za osobę dosyć majętną. — Gdy przyszło jednak do omówienia szczegółów pożycia, narzeczony zapytawszy o posag panny, dowiedział się, że wynosi on zaledwie 120 tysięcy kor.

„Bardzo mi przykro — zawołał strapiony, ale cóż my z tem zrobimy? Dochody moje starczą jedynie na utrzymanie domu, urządzenie zaś muszę pokryć z posagu żony. Informowałem się zaś u meblarzy i dowiedziałem sie, że najtaniej licząc, urządzenie czterech pokoi, co jest minimum moich wymagań, musi kosztować 160.000 koron.

Maryaż ten nie doszedł do skutku.

Innego rodzaju tragedya rozegrała się niedawno w Warszawie. Bohater jej, człowiek młody, z wszelkiemi danemi do karyery dyplomatycznej, zareczony był z panną, która przed wojną mogła uchodzić za poważnie majętną, gdyż posiadała 200.000 koron posagu. Już umówiony był termin ślubu, gdy narzeczony otrzymał nominacyę na wysokie stanowisko w konsulacie polskim w Ameryce. Przyjął to z radością, ciesząc się z góry widokami, jakie mu się przy skromnym posagu żony otworzą w nowym świecie. Niestety, gdy przyszło do zamówienia biletu dla panny młodej, która postanowiła wraz z małżonkiem udać się za ocean, okazało się, że wynosi on kilkaset dolarów, coś około 50.000 K. Poza tem dla wizowania paszportu dla panny młodej (gdyż on otrzymał wraz z biletem drogą urzędową) trzeba się było najmniej przez dwa tygodnie zatrzymać w Paryżu. Koszt pobytu tam dwojga osób wynosiłby takąż kwotę, jak bilet okrętowy. Wobec tego idealniej myślący, niźli powyżej wspomniany kandydat na małżonka, niedoszły dyplomata, musiał zrezygnować z karyery politycznej i postanowił pozostać w kraju. Doszeedł on do wniosku, że lpiej zrezygnować z karyery, niż z żony, a odroczywszy termin ślubu założył sobie „salon strzyżenia i golenia".

Oba zdarzenia są zupełnie autentyczne, a charakteryzują doskonale niedolę naszych panien.



Z mód paryskich.

(do illustracyi).

Illustracya nasza przedstawia najmodniejszą kreacyę krawieską paryską z dziedziny toalet wieczorowych. Jest to prawdziwe arcydzieło kunsztu krawieckiego, misterna kombinacya gazy, jedwabiu o łagodnych pastelowych barwach z prawdziwemi lekkożółtawemi koronkami.

W dziewiczych krajach Afryki.

8 (Dalszy ciąg).

Kapitan wzruszony na chwilę, pohamował się natychmiast i kazał ich okuć w kajdany. Czterech silnych majtków rzuciło się na młodych ludzi i zawlokło ich na spód okrętu.

Wtedy wybiła ostatnia godzina fregaty. Przebita na wylot przeszło sześćdziesięciu kulami, z których wiele pękło w samem drzewie, robiąc straszliwe otwory, przez które woda gwałtownie wpadała, biedna fregata zanurzyła się przodem i stopniowo zapadała w morze.

Noel, który z lunetą w ręku przypatrywał się temu, w chwili, kiedy tył statku uniósł się nad wodę, odczytał głośno:

— Waleczna!

Dawna taktyka, broń stara i prawo uległy przed postępem i zuchwalstwem. „Osa“, która kawałka liny nie straciła, zamiast zwrócić się ku lądowi, który nie o całe dwie mile leżał od pola walki, popłynęła ku Brazylii.

Kapitan Noel postanowił, że pasażerowie pozostaną więźniami na pokładzie do końca wyprawy.

— Gdybyśmy popełnili głupstwo i wysadzili ich teraz — rzekł do swego pomocnika — to za przybyciem do Gabonu opowiedzieliy sprawkę naszą całemu światu, a nimby dwa tygodnie upłynęło, flota strażników ścigałaby nas i otoczyła wokoło, a wtedy byłoby źle z nami.

Tegoż samego wieczora kazał przyprowadzć do siebe Bartheta i Guillois, oddzielnie od dwóch pozostałych towarzyszy i oświadczył im swój zamiar, żądając od nich słowa honoru, że nie będą się starali dać najmniejszego znaku okrętom, które spotkać przyjdzie, ani próbować ucieczki, jeśli się zdarzy przybić do jakiegoś brzegu. Pod tym warunkiem — rzekł im — będziecie panowie wolni na pokładzie, traktowani jako pasażerowie i uwolnieni, skoro „Osa“ pozbędzie się swego ładunku murzynów.

— A gdybyśmy nie mogli — zapytał Barthet — dać panu słowa honoru?

— Bardzoby mi było przykro — odpowiedział spokojnie Noel, bez najmniejszego śladu wzruszenia — ale wtedy musiałbym was odesłać przez burt, z kulą u nogi.

— Jakto! pan byś śmiał?... — odrzekli zdjęci dreszczem przyjaciele.

— Postawcie się panowie na mojem miejscu — mówił dalej kapitan z dobrodusznym uśmiechem. — Za pierwszym statkiem dość silnym, by nas pochwycić, ja i moi ludzie wiemy, co nas czeka... Panowie odmawiacie mi słowo, którego żądam, to znaczy, że macie zamiar i nadzieję ucieczki, a wtedy stajecie się dla mnie powodem bardzo groźnego niebezpieczeństwa; musię się więc was pozbyć, żeby z waszej łaski nie być powieszonym...

— Bardzo dobrze, kapitanie, z panem słów się przynajmniej nie traci na próżno i umiesz stawiać kwestyę jasno; masz za sobą siłę, więc sprzeczać się nie będziemy i dajemy ci słowo, że nie będziemy się starali uciec, ani nie damy z pokładu żadnego znaku okrętom spotkanym.

— A więc dłoń waszą, panowie, bardzo rad jestem z waszego postanowienia i możecie odtąd rozpocząć dawny sposób życia...

— Czy zagrożenie powyższe ściąga się i do podania ręki?

— Bynajmniej.

— A zatem, kapitanie, pozwól, że ci jej nie podamy.

— Jak się wam podoba. Szacunek wasz mało mnie obchodzi.

— Ponieważ pan jesteś tak...

— Śmiało, panowie, nie żenujcie się, widzicie, że jestem do ustępstw skłonny.

— ...tak wolny od przesądów, to bylibyśmy mocno obowiązani, gdybyś chciał zrobić jeszcze jedno.

— Cóż takiego?

— Pozwolić nam czterem jadać osobno w kwadracie między pomostami.

— Aha! nie chcecie jadać ze mną?... Zgoda, ale na was dwóch tylko.

— Jakto?

— Nie macie prawa wiązać woli dwóch innych pasażerów, z którymi pomówić pragnę. Panowie, rozmowa nasza skończona i sądzę, że dosyć tego. Molibyście popsuć mi humor.

— Kapitanie, mamy zaszczyt pożegnać pana.

Takie samo pytanie zrobił Noël Giliasowi i Toucasowi, przywołanym z kolei.

— Nigdy! — zawołał Toucas z przesadą — nie wymożesz pan na nas zobowiązania, że nie uciekniemy... albo nie wskażemy pana! Wiedz o tem, mój kapitanie, że rząd natychmiast o zbrodniach twoich zawiadomiony zostanie, skoro...

— Dobrze, panowie — przerwał Noël, który robił największe wysilenia, żeby nie parsknąć śmiechem. — Pojmuję uczucia panów, całą ich drażliwość, i bynajmniej nie mam zamiaru gwałcić waszego sumienia. Muszę wam tylko oświadczyć, że podpisaliście na siebie wyrok śmierci.

— Wyrok śmierci! — krzyknęli biedacy, chwiejąc się na nogach.

— Pomyślcie tylko: chcecie, żeby mnie powieszono — bronić się więc muszę.

— Ależ, kapitanie, trzeba nam było powiedzieć odrazu... bądź przekonany, że nie będziemy nigdy nędznikami, zapominającymi o wspaniałej gościnności, jakiejś nam udzielił...

— A te raporta, które chcecie przesłać rządowi?

— Ba! pan wiesz dobrze przecież, że podobne s z p a r g a ł y kładą się do tek starych, porządnie ustawionych i ponumerowanych, ale się nie czytają nigdy.

— A zatem słowo!

— Masz je, kapitanie, dziesięć nie jedno... żądasz go na piśmie?

— Ależ bynajmniej, moi panowie, to niepotrzebne wcale między marynarzami, słowo rzecz święta... Pozostaje jedna tylko drobna kwestya do załatwienia, a zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

— Cóż takiego? — zapytał Toucas.

— Oto potrzeba mi chirurga na pokładzie, a ponieważ jadę do Brazylii zawrzeć kontrakt o dostarczenie czterystu do pięciuset murzynów, po których wrócę do Benguelli, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby pan Giliasse raczył objąć obowiązki lekarza na O s i e w czasie dwóch tych podróży.

— Pańska propozycya jest bardzo naturalną — odpowiedział Toucas — i jestem przekonany, że przyjaciel mój Giliasse będzie rad bardzo ze sposobności oddania panu tej drobnej przysługi.

— To jeszcze nie wszystko. Jestem obarczony mnóstwem drobnostek, nie wchodzących w zakres mojej kompetencyi i pan, panie Toucas, zrobiłbyś mi wielką łaskę, gdybyś chciał przyjąć obowiązek naczelnika administracyi na pokładzie i komisarza emigracyi murzyńskiej.

— To wymaga namysłu — zauważył bojaźliwie ostatni.

— Panowie, propozycye moje są nierozdzielne — rzekł Noël, przybierając nagle minę poważniejszą. — Zresztą przypominam panom, że spełniam tylko własne wasze niedawne życzenia.

— A więc przyjąć je musimy.

— Tak jest. Ale dodać winienem, że, jak wszyscy, mieć będziecie panowie udział swój w h a n d l u, a udział ten wyniesie od dwudziestu do trzydziestu tysięcy franków na każdego. W razie odmowy zmuszony jestem skąpać was w morzu...

— Ależ na Boga, kapitanie! — zawołali chórem obaj przyjaciele — argumenta pańskie są tak przekonywujące, że niepodobna oprzeć się panu.

— Nie zapominajcie panowie, że jak tylko ostatni murzyn zejdzie z pokładu, będziecie mogli się udać, gdzie wam się podoba i opowiadać każdemu, że trzymałem was na O s i e jako więźniów. Pan, panie Toucas, będziesz mógł rządowi złożyć tyle raportów, ile zechcesz, jak niemniej dowieść, że to Noël, kapitan statku niewolniczego, zatopił W a l e c z n ą.

— Słowo jeszcze, kapitanie — wtrącił Giliasse, który czasami miewał koncepty w zachwyt wprowadzające Toucasa.

— Słucham pana.

— Co pan myślisz zrobić z dwoma naszymi młodymi towarzyszami?

— Nic, dali mi słowo, że nie uciekną, to mi wystarcza.

— A żebyś pan dał nam ich za pomocników?

— A to na co?

— Ze względu na raport przyszły, który o naszem obecnem położeniu złożyć musimy. Nie wypada przecież, ażeby wyglądało, że podwładni nasi zaimponowali panu do tego stopnia, żeś ich zostawił niezależnymi na statku. Pojmujesz pan, jakiby to fatalny wpływ na nas miało.

— Wątpię, żeby się zgodzili.

— Przecież, kapitanie, nie wyczerpałeś wszystkich swoich argumentów z nami.

— Więc dobrze — nie chcę odmawiać pierwszej prośbie, jaką zanosicie od chwili wejścia waszego do sztabu O s y. Pomówię z nimi.

Wymawiając te słowa, Noël pożegnał ich z szyderczą miną i pośpieszył do siebie, żeby uśmiać się do woli.

— Jakim u dyabła sposobem — rzekł wychodząc Toucas do Giliassa — mógł komisarz jeneralny w Bordeaux wsadzić nas na tę galiotę?

Według przyrzeczenia, kapitan kazał powtórnie prosić dwóch młodych ludzi i z miną żartobliwą oświadczył, że mianuje jednego z nich pomocnikiem lekarza, drugiego pomocnikiem komisarza, a uwiadamiając ich o powodach tego kroku, zostawił im zupełną swobodę postępowania.

Guillois i Barthet nie mogli się wstrzymać od śmiechu, wspomniawszy o szczególnem położeniu, w jakiem się znajdowali; przekonani zaś, że dwaj ich zwierzchnicy, których tchórzostwo znali, musieli się zgodzić na wszystko, mając nóż na gardle, tem bardziej, że Noël nie wspomniał o przyrzeczonym udziale w zyskach, zapewnili ich wychodząc od kapitana, że w danym razie nie odstąpią towarzyszów i podpiszą raport do ministra marynarki, jaki ci wygotować zechcą.

Uporządkowana znowu, jako statek handlowy, O s a przybrała postać zwykłego żaglowca. Przy rannym apelu, Giliasse i Toucas zostali ogłoszeni jeden chirurgiem, drugi komisarzem statku i życie popłynęło zwykłą koleją, jakkolwiek dwaj młodzi ludzie trzymali się nieco na uboczu.

We dwadzieścia dni później, galiota o jedenastej godzinie wieczorem dopływała naprost Natalu do wybrzeży Rio-Grande del Norte.

Kapitan kazał zarzucić kotwicę, a puściwszy trzy rakiety, które, zakreśliwszy wielki łuk ognisty, zagasły w morzu, czkał.

Noc była wspaniała. Tysiące gwiazd odbijających się w falach oceanu, tak spokojnyhc w tej chwili, jak wody jeziora, sprawiały złudzeniee takie, że O s a zdawała się żeglować po firmamencie. Nagle rakieta puszczona z lądu rozsypała się w snop gwiazdzisty. Była to odpowiedź na sygnał z pokładu dany. Na rozkaz oficera, trzymającego wartę, sierżant wywiesił latarnię na maszcie przednim.

W godzinę może spostrzeżono czarny punkt ruchomy, kierujący się ku okrętowi, a niebawem małe czółenko krajowe przybiło do prawego boku statku. Człowiek przybyły zręcznie wszedł po drabinie, a przelazłszy przez parapet, wskoczył na pokład.

— Dobry wieczór, don Joaquinie — rzekł Noël, który wyszedł na jego spotkanie.

— Dobry wieczór, kapitanie — odpowiedział nieznajomy.

I nic nie mówiąc więcej, obadwaj poszli do salonu na tyle statku, gdzie się zamknęli.

— Jakież wiadomości? — zapytał kapitan przybysza.

— Dobre i złe zarazem.

— Czyżbyście wbrew depeszy pańskiej do Rontonaków, nie mieli dla nas obstalunku?

— A więc?

— O pod tym względem bądź pan spokojny. Niewiele powiedzieć można w liście cyfrowanym, a panowie biegli z g a b i n e t u c z a r n e g o, są tak zręczni, że złapią nas prędzej, czy później. Rontonac pisze, że coraz czujniejsze mają nad nim oko. Ja doniosłem mu tylko, że mam do jego dyspozycyi ładunek kawy i kampeszu. Odpowiedział mi, że przyśle O s ę. Nic więcej donieść mu nie miałem, bo dla ostrożności przywykliśmy tu zawierać umowy.

— Powiedziałem panu, że wiadomości są złe, bo izba i senat w Rio odgrzebały prawo o h a n d l u n i e w o l n i k a m i dawno z użycia wyszłe i dodały najsurowsze kary na przestępców. Dobre wieści dotyczą tej samej kwestyi, bo jeżeli izby zakazują handlu, a nie znoszą niewolnictwa, to rozumie się, że środek podobny podwoi tylko cenę niewolnika. W moim interesie nie powinienbym panu mówić o tem, ale z panem postępuję otwarcie, bo potrzebuję daleko większego ładunku, niż dawniejsze.

— Jesteśmy przygotowani tylko na pomieszczenie czterystu murzynów.

— Objechałem ledwie dwie prowincye i porozumiałem się z właścicielami plantacyi. Potrzebuję przynajmniej sześciuset.

— Spróbujemy ich ścisnąć trochę. Mam teraz chirurga na pokładzie.

— Proszę, Rontonac myśli o wszystkiem.

— Och! to nie jego pomysł!... a cena pańska?

— Trzy tysiące franków za mężczyznę w dobrym stanie, a trzy tysiące pięćset za kobietę.

— Przypuszczam, że różnica ta nie jest prostą galanteryą.

— O nie! prawo przeciw handlowi podniosło cenę matek.

— Rozumiem... Zgoda na tę cenę... A warunki zapłaty?

— Jak zwykle, przekaz na okaziciela do Souzy de Rio.

— Przyjmuję w imieniu moich mocodawców i w mojem.

— A więc interes skończony?

— Najzupełniej.

— Mają nas za zbójników — zauważył Noël, wprowadzony w dobry humor podniesieniem ceny towaru — a tymczasem zrobiliśmy na słowo interes blisko dwumilionowy.

— Interesa prześladowane przez prawo — odpowiedział z namaszczeniem Brazylijczyk — muszą szukać poparcia w uczciwości... Kiedy ich będziesz pan mógł dostawić?

— Miesiąc drogi tam, czterdzieści pięć dni z powrotem, bo obawiamy się nieco wiatru przeciwnego, trzydzieści sześć godzin ładowania... będę tu więc między dwudziestym piątym listopa... między dwudziestym piątym listopada... W ostatniej chwili użyję machiny, jeśli trzeba będzie.

— Interes skończony. Dobrego powodzenia, kapitanie.

— Do widzenia, senor Joaquinie.

I bez dalszej zwłoki, handlarz brazylijski wsiadł do swojej łódki. Jeszcze nie stanął u brzegu, kiedy „Osa“ ze swej strony płynęła już ku wybrzeżom Afryki.

W cztery tygodnie, według obliczeń kapitana, galiota miała przed sobą przylądek Negro, na krańcu Bengueli.

Przed zachodem słońca prowadzona przez Cabota weszła do ciasnej i krętej zatoki, wrzynającej się w ląd blizko na tysiąc sążni. Po obu brzegach ciągnęły się gęste i ciemne lasy nietknięte siekierą, które bujna wyobraźnia przedłużała aż do tajemniczych i niezwiedzonych brzegów Zambezi. Była to delta Rio das Mortes.

Doskonale ukryta przed niedyskretnem okiem z pełnego morza zaglądać mogącem, „Osa“ o zmroku zarzuciła kotwicę w ostatnim zaułku zatoki. W kilku minut później, mulat, ajent Rontonaców na wybrzeżu Bengueli, był już na pokładzie.

Tej nocy załoga statku niewolniczego do snu ukołysaną została dzikim koncertem, na który się złożyły okrzyki chrapliwe i tęskne ptaków nocnych, szczekania szakalów, ryki tygrysów i niskie a przeciągłe tony dzikich słoni.

(C, d. n.)



Wspomnienia bolszewickich rządów w Budapeszcie.

Bolszewicy węgierscy za czasu swych rządów — starali się położyć łapę na wszystkich dziedzinach życia społecznego i wszelkie jego przejawy uprzęgnąć w jarzmo „czerwonego terroru". Opanowali teatr, szkołę, dziennikarstwo, a usiłowali również zmienić wygląd zewnętrzny miasta przez wznoszenie posągów symbolizujących ideały komunistyczne. I tak na reprodukowanej przez nas rycinie, czytelnik zobaczy symboliczne postacie „Żołnierza czerwonej armii" i „Robotnika komunisty".

Aresztowanie specyalisty wagonowego agitatora bolszewickiego.

Przypadkowy towarzysz podróży. — Próba agitowania żołnierzy polskich.— Od wagonu do wagonu. — Niemiłe zajście. — Ptaszek w klatce.

Było to w pociągu, w którym kilkanaście wagonów zajęli żołnierze wraz z oficerami.

Ni stąd ni zowąd wśliznął się do wagonu towarzysz podróży, jadący akurat w tęsamą stronę i rozpoczął z żołnierzami rozmowę.

— Jakże tam z ubraniem — zapytał — kiepsko, nieprawdaż? A przecież sprowadzono tyle płaszczy amerykańskich, co się z niemi stało?

— Jeszcze nie „zafasowaliśmy" — odparł jeden z wojaków, tęgi mazur.

— A jakże tam z jedzeniem? — pytał dalej towarzysz podróży — bo to, proszę panów, dzisiaj to tylko w wojsku służyć, naprzykład, deputaty oficerskie, to pięciu nie zje tego, co jeden oficer dostaje...

— Wedle jadła niezgorzej, nikt głodny nie jest — zauważył trudny do „obróbki" mazur.

Rozmowa się urwała...

— Aż miło patrzeć na naszych żołnierzy—rozpoczął na nowo po chwili— taki duch w wojsku, taki zapał i odwaga, gdzie pójdą, tam biją...

— A bo tak się nam patrzy! — zabrzmiało w odpowiedzi.

— Ale ci bolszewicy to silni i trzymają się nadzwyczajnie: i Kołczaka pobili i Denikina, teraz, jak uderzą na nas, to będzie źle, twarde sztuki...

— Poradzimy tym psim krwiom, do Polaka to tam jeszcze moskal nie dorósł! — nastaniła nowa konkluzya.

— No, tak bardzo to nie, ze trzy lub cztery tygodnie, a potem przyjdą do nas — z irytacyą już odpowiedział przypadkowy towarzysz podróży i widząc, iż nic nie wskóra, postanowił przejść do innego wagonu.

Zjawił się po chwili w wagonie sąsiednim, również żołnierskim. Ta sama serdeczna i przyjacielska rozmowa rozpoczęła się znowu. W trzecim wagonie tosamo i tak dalej. Gdzie mógł rzucał ziarna trucizny bolszewickiej, próbując zatruć niemi serce i ducha polskiego żołnierza.

Skończyło się jednak tak, jak skończyć się było powinno.

Aresztowano go i oddano w ręce władzy. Jeden z pośród „nie w ciemie bitych żołnierzy" poznał się na podróżującym ptaszku. Pono, nawet gorąca dyskusya w ostatnim wagonie zakończyła się... maleńkim rękoczynem.

Omyłki nie było.

Dostał się pod klucz zdawna poszukiwany niebezpieczny agitator bolszewicki, wydelegowany z „raju moskiewskiego" na grunt polski.

Niezwykłe małżeństwa w Indjach.

Indye są nie tylko krajem tańczących fakirów, zaklinaczy wężów, przedziwnie pięknych kobiet i kwiatów, ale także najbardziej niezwykłych pod słońcem małżeństw. Akt małżeństwa na południu Indyi jest do dzisiejszego dnia wyłącznie aktem kupna żony, a dziewczęta jeszcze w latach dziecięcych zostają poślubiane symbolicznie łukowi, mieczowi, ptakom lub słońcu, co sprowadza na ich szczep błogosławieństwo bogów. Równie częste są małżeństwa z drzewem, jako z symbolem płodności.

W Sandżabie żaden Hindus nie może ożenić się po raz trzeci, natomiast wolno mu wstąpić w związki małżeńskie po raz czwarty. Między jego drugiem a czwartem małżeństwem muszą nastąpić zaślubiny z drzewem lub z krzakiem, a następnie dopiero z kobietą. — W plemieniu Kudva-Kunbisów młodą dziewczynę, która w odpowiednim czasie nie znajduje kandydata do swej brunatnej ręki, zaślubia się z bukietem kwiatów. Gdy bukiet więdnie — małżonka jego uważa się za wdowę i jako wdowa łatwiej znajduje oblubieńca.

W małżeństwie, zawieranem przez młodą dziewczynę hinduską z drzewem, słońcem lub pękiem kwiatów, mieści się bezprzecznie wiele egzotycznej poezyi, wątpliwem jest jednak, czy nasze naprożno do mężów tęskniące dziewice europejskie, rezygnując z prawdziwego męża, zechciałyby zostać żonami słońca, drzewa lub najpiękniej śpiewającego kanarka...

Z kim iść?

Wieści hiobowe
obiegły świat cały:
lanie pono biorą
carskie generały.
Rozleciał się Kołczak,
a znowu Bermouta
Estończyk, czy Łotysz
z ziemi swej wyprząta.
Znikł dzielny von Lieven
Judenicz się cofa,
a i z Denikinem
także — katastrofa!
Bo gdzie tylko stanie,
tam się naród burzy,
carosławnych rządów
nie chce znosić dłużej,
i lada dzień wieści
spodziewać się trzeba,
że ktoś generała
wyprawił do nieba.
Więc chodzą strapione
różne dyplomaty:
z kim tu wejść w przymierze,
gdy ślad ginie laty?...
— Przyjaciele nasi,
pozbędźcie się troski,
toć wam pozostanie —
duch denikinowski.

Benedykt Hertz.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

7 (Ciąg dalszy).

Caderousse puścił wzrok śledzący za Ferdynandem, ale już go nie było.

— Aha, — rzekł przytłumionym głosem — może to skutki wczorajszego żartu, o którym wczoraj mówiłeś panie Danglars? Jeśli tak jest, biada temu, kto się nań poważył, bo to za wiele!

— Bynajmniej — zawołał Danglars — wiesz przecież dobrze, żem podarł papier w drobne kawałki.

— Nie podarłeś go, — rzekł Caderousse, — tylkoś go zmiął i w kąt rzucił, to tak było, ja pamiętam.

— Milcz, mylisz się, byłeś pijany.

— A gdzie Ferdynand? — rzecze Caderousse.

— Alboż ja mogę wiedzieć? — odpowie Danglars, musiał pójść za swojemi interesami. Ale dajmy oto pokój próżnej gawędzie, wypada raczej nieść pociechę tym nieszczęśliwym.

W czasie tej rozmowy, Dantes pożegnał każdego z swych przyjaciół ściśnieniem ręki, Mercedes pocałował w czoło i oddał się jako więzień w ręce sprawiedliwości.

— Bądźcie spokojni, omyłka się niewątpliwie wyjaśni, i być może, że nawet nie dojdę do drzwi więzienia.

Dantes szedł po schodach, komisarz policyi naprzód, żołnierze naokoło. Powóz z otwartemi drzwiczkami stał i czekał gotowy. Dantes wsiadł naprzód, za nim komisarz i dwóch żołnierzy. Drzwiczki zamknięto i powóz zwrócił się w stronę ku Marsylii.

— Żegnam cię Edmundzie, żegnam cię! — krzyknęła Mercedes, wybiegłszy na balkon.

Więzień usłyszał ten ostatni krzyk śród łkania, wychylił głowę z powozu i zawołał donośnie: „do widzenia Mercedes!“ i zniknął na zakręcie twierdzy św. Mikołaja.

— Poczekajcie tu państwo na mnie, — rzekł pan Morrel, — biorę natychmiast fiakra, jadę co prędzej do Marsylii i dam wam znać natychmiast, co się stało.

— Jedź pan, — zawołali wszyscy razem, — jedź, i wracaj co najprędzej.

Po pierwszym i tym drugim odjeździe nastał moment powszechnego osłupienia. Starzec i Mercedes zdawali się czas jakiś niemi, każdy w boleści swej pogrążony. Nakoniec spotkały się ich oczy; spojrzeli na siebie jak dwie ofiary jednym ugodzone ciosem i rzucili się wzajem sobie w objęcia. Tymczasem Fernand wrócił, nalał sobie szklankę wody, wypił i usiadł na krześle. Przypadek zrządził, że to było właśnie sąsiednie krzesło na które upadła Mercedes.

— A jest przecie, — rzekł Caderousse do Danglarsa, nie spuszczając z oka Katalończyka, — to on niezawodnie.

— Nie myślę, — odpowie Danglars, — on nadto głupi na te rzeczy. W każdym razie niech cios spadnie na tego, co go sprowadził.

— A o tym co był doradcą, nic nie mówisz? — rzekł Caderousse.

— O na miłość Boską! — rzekł Danglars, — gdybyśmy byli odpowiedzialni za wszystko, co się tak oto na wiatr powie...

— Zapewne, gdy jeszcze to, co sobie na wiatr powiemy, spada napowrót w pewnej sile...

W czasie tej rozmowy, towarzystwo podzielone na różne grupy, omawiało wypadek uwięzienia ze wszech stron i względów.

— A pan, panie Danglars, co myślisz o tym wypadku? — ozwał się ktoś z tłumu.

— Mnie się zdaje, — rzekł Danglars, — że on musiał sprowadzić kilka pak zakazanych towarów.

Gdyby tak było, musiałbyś o tem wiedzieć, ty panie jako ajent komisowy.

— Prawda i to; ale powinniście państwo wiedzieć, że ajent komisowy wie tylko o tem, co mu deklarują. Wiem dobrze, że mamy ładunek wielki bawełny, żeśmy go tu, a tu wzięli, ale więcej do mnie nie należy, o więcej nie pytajcie mnie państwo.

— Ah! przypominam sobie, — rzekł starzec chwytając się tej wiadomości, — on mówił mi wczoraj właśnie, że ma dla mnie jednę skrzynię kawy i jednę tytoniu.

— A widzicie, — rzekł Danglars, — to najpewniej; niezawodnie w czasie naszej nieobecności komora zrewidowała statek Faraon i znalazła skrytkę.

Mercedes na to wszystko nie zwracała uwagi; aż do tej chwili pognębiona smutkiem i boleścią, teraz wybuchła głośnem łkaniem.

— Ah pójdźmy, pójdźmy, nadzieja nam zabłysła— rzekła, niewiedząc bynajmniej o czem stary Dantes mówi.

— Nadzieja, — powtórzył Dantes.

— Nadzieja! — starał się pomrukiwać Fernand, ale sam ten wyraz go zadławił, usta mu drżały i żadne słowo nie mogło wydobyć się z piersi.

— Panowie, — zawołał któryś z biesiadników, postawionych na czatach w balkonie, — panowie, powóz wraca. Ah! to pan Morrel, brawo, brawo! pan Morrel wraca, on nam niezawodnie dobre przynosi nowiny.

Mercedes i stary Dantes pobiegli na spotkanie właściciela statku, pan Morrel był bardzo zmieniony.

— No i cóż? — zawołali wszyscy razem, jakby jednym głosem.

— I cóż, moi przyjaciele, — odpowie właściciel rzecz jest daleko większej wagi, niżeśmy z początku myśleli.

— Oh panie Morrel, — zawołała gwałtownie Mercedes, — on jest niewinny.

— I ja tak jestem przekonany, ale go oskarżają...

— O cóż go oskarżają? — zapytał stary Dantes.

— Że jest ajentem Bonapartystowskim.

Okropnem było wówczas takie skarżenie; Mercedes wydała tylko krzyk bolesny, a starzec bez zmysłów upadł na krzesło.

— Aha! — szepnął Caderousse, — wyście mnie oszukali i żart wasz nie był wcale na żart. Ale ja nie pozwolę, aby ten starzec i to młode dziewczę pomarli z bolu i rozpaczy, ja im natychmiast wszystko powiem.

— Milcz nędzny! — zawołał Danglars, porywając za rękę Caderussa, albo mi drogo przypłacisz za twój język. I któż ci powiedział, że Dantes nie jest w rzeczy samej winnym? Statek zawinął przy wyspie Elbie, on wysiadał i bawił cały dzień w Porto-Ferrajo. Jeśli znaleziono przy nim jaki list, który go podał w podejrzenie, wszyscy ci, co go bronić zechcą, wpadną w ręce sprawiedliwości jako spólnicy zbrodni.

Caderousse wiedziony naturalnym popędem i uczuciem egoizmu, pojął od razu całą wartość tego ostrzeżenia. Spojrzał na Danglarsa wzrokiem osłupiałym z boleści i przestrachu i jak pierwszy krok postąpił naprzód, tak teraz dwa cofnął się w tył.

— A więc dajmy temu jeszcze pokój, — wyjąknął obrońca Dantesa.

— Naturalnie, wstrzymajcie się jeszcze, — rzekł Danglars; — jeśli jest niewinnym, wypuszczą go niezawodnie na wolność; jeśli zaś winny, próżnobyśmy narażali się za niego jako za spiskowego.

— Pójdźmy więc; ja tu ani chwili bawić dłużej nie mogę.

— Dobrze, chodźmy, — rzekł Danglars, rad, że znalazł towarzysza do wyjścia; — niech oni tu sobie radzą jak mogą, my nie mamy tu co robić.

Wyszli. Fernand jako jedyna teraz podpora i opieka Mercedes, wziął ją pod rękę i odprowadził do swoich; przyjaciele Dantesa odprowadzili również starca, na pół omdlałego prawie do domu. Wkrótce wieść, że Dantesa uwięziono jako Bonapartystowskiego ajenta rozeszła się po całem mieście.

— Czybyś był przypuścił kiedykolwiek, mój drogi Danglarsie, coś podobnego, — rzekł pan Morrel, zbliżając się do swego ajenta komisowego i Caderousse, — ja sam byłem w mieście i mam najpewniejsze wiadomości od podprokuratora, którego znam cokolwiek. Sam pan Villefort mi mówił o wszystkiem. Czybyś był pomyślał o tem kiedykolwiek? powiedz tylko.

— A cóż u kata, — odpowie Danglars, — czyżem panu nie mówił zaraz z początku, że Dantes bez żadnego powodu bawił dzień cały na Elbie i że ten pobyt zdawał mi się nieco podejrzanym.

— Ale, czyś domysłów swoich nie udzielił czasem komu innemu, prócz mnie?

— A niech mię Bóg broni! — dodał z cicha Danglars; — przecież wiesz pan dobrodziej bardzo dobrze, iż z powodu, że pan Polikarp Morrel służył pod kimś tam, co nie tai swojej przychylności do Napoleona, i pana posądzają, jakobyś żałował cesarza. Czyż jabym był chciał narażać Edmunda Dantesa i pana dobrodzieja? Są rzeczy, które winniśmy z całą szczerością wyznać naszym zwierzchnikom, ale z któremi przed obcymi musimy kryć się najmocniej.

Dobrze mój Danglarsie, dobrze kochanie, — rzekł właściciel, — tęgi jesteś chłopak; myślałem ja i o tobie na wypadek, gdyby ten biedny Edmund został kapitanem Faraonu.

— Jakto pan dobrodziej rozumiesz?

— Pytałem pierwej Dantesa, jakie jest jego zdanie o tobie i czy nie ma nic przeciw temu, byś utrzymał się przy swojem miejscu; bo nie wiem czemu, ale mi się zdawało zawsze, że wy jakoś obojętni względem siebie byliście.

— I cóż on panu na to odpowiedział?

— Że w rzeczy samej z powodu jakiejś okoliczności, poróżniliście się między sobą, ale pomimo to, dodał: ktokolwiek posiada zaufanie moje, może być pewnym i jego szacunku.

— O chytry! — rzekł po cichu Danglars.

— Poczciwy chłopak, — rzekł Caderousse, — i ten postępek dowodzi, że to zacny i szlachetny człowiek.

— Tak, ale tymczasem, — dodał pan Morrel, Faraon został bez kapitana.

— A to czemu, — ozwał się Danglars, — zdaje się przecież, że nim będziemy mogli odpłynąć, co nie prędzej nastąpi jak za trzy miesiące, Dantes będzie już wolnym.

— Bez wątpienia, ale przez ten czas jak będzie?

— Przez ten czas? ja to jestem do usług pańskich, panie Morrel, — rzekł Danglars. — Wiesz pan przecież, że ja znam tak dobrze jak i kapitan sternictwo krętu. Poruczając mi to miejsce, będziesz miał nawet pewną korzyść z tego, bo jak Dantes wyjdzie z więzienia, nie potrzebujesz nawet ukłonić się komukolwiek; on obejmie swoje miejsce, a ja wrócę do swojego.

— Dziękuję ci, Danglarsie, — rzekł właściciel, — to mi się nazywa dobra rada. Obejmij więc zaraz dowództwo, masz moje na to upoważnienie i dopilnuj wyładowania; ktokolwiek bowiem z osób co ucierpi, interesa na tem tracić nie powinny.

— Bądź pan dobrodziej spokojny... ale, czy też możnaby się widzieć przynajmniej z naszym poczciwym Edmundem?

— Ja ci dam znać, kochany Danglarsie. Będą się starał widzieć z panem Villefort i pomówię z nim w interesie Dantesa. Wiem ja wprawdzie, że to zapalony rojalista, ale cóż u dyabła, czy rojalista, czy prokurator królewski, jest przecież człowiekiem, i go mam nawet za poczciwego.

— Tak zapewne, — rzekł Danglars, — ale mówią o nim, że dumny, a to na jedno wynosi co zły.

— Zresztą zbaczymy, — dodał Morrel z westchnieniem; — idź na statek, ja tam zaraz przyjdę. Odszedł od swego towarzysza i udał się drogą do gmachu sądowego.

— Widzisz, — rzecze Danglars do Caderoussa, — jaki obrót rzeczy biorą, maszże jeszcze ochotę stawać po stronie Dantesa?

— Naturalnie, że nie; ale to rzecz okropna, aby żart mógł mieć tak straszne następstwa.

— Do pioruna- ktoż to zrobił? ani ja, ani ty, nieprawdaż? tylko Fernand, wiesz dobrze, że ja papier ten w kąt rzuciłem, zdaje mi się nawet, żem go podarł.

— O nie, nie, ręczę ci za to, — rzekł Caderusse,— co do tego, jestem pewny, jakbym go widział jeszcze, leży w kącie, zmięty, zgnieciony; a jakżebym chciał, aby tam był jeszcze.

— Cóż z tego, że byłbyś chciał!... Fernand musiał go wziąć niezawodnie, przepisał lub kazał przepisać; może to nawet nie on zrobił. Ah, mój Boże! jak pomyślę, że może on posłał mój własny rękopis, szczęście, żem zmienił charakter.

— Ale wiedziałeś przecież, że Dantes należał do spisku?

— Ja nic a nic w świecie nie wiedziałem, pożartowałem sobie tak oto, jakem ci to już mówił. Śmiejąc się niby, powiedziałem prawdę niechcący.

— Wszystko to jedno, — odpowiedział Caderousse; — dałbym nie wiem co za to, żeby się ta rzecz dała odrobić, albo przynajmniej, żebym ja do niej nie był zamieszany; zobaczysz, że my będziemy stąd mieli wielką biedę.

— Jeśli kto na tem cierpi to naturalnie ten, co istotnie winien, winnym zaś jest rzeczywiście Fernand, nie my. I cóż nam się stać może, powiedz naprzykład? Trzeba tylko w tem wszystkiem zachwać jak najściślejsze milczenie, nie mówić z nikim o tem ani słowa, a burza przejdzie bez piorunów.

— Dosyć na tem, — rzekł Caderousse, — żegnając się z Danglarsem i zwracając w stronę do Meillan, poszedł ze zwieszoną głową, mrusząc sam do siebie, jak się to zdarza ludziom bardzo zainteresowanym.

— To i dobrze, rzeczy przybierają obrót, jakim przewidział, a tymczasem ja sobie jestem kapitanem, a jeśli ten głupiec Caderousse zechce milczeć, to i kapitanem naprawdę. Chybaby jeden wypadek, że sąd uwolni Dantesa... ale sąd jest zawsze sądem, a ja już mogę liczyć na niego.

Wtem skoczył do łodzi, rozkazawszy wieźć się do statku Faraon, gdzie jak sobie przypominamy, właściciel naznaczył mu zejście się.

(C. d. n.)

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

8 (Ciąg dalszy).

— Jesteś zuchwałym łotrem! — zawołał generał. — Gdybyś był dobrym żołnierzem, nie potrzebowałbyś prosić o jałmużnę. Nie dam ci ani grosza.

— Jeszcze słowo, sir! — zakrzyknął włóczęga, widząc, iż generał zawraca ku domowi. — Byłem w wąwozie Therada.

Starzec odwrócił się gwałtownie na te słowa; wyglądał, jakby piorun spadł mu u stóp.

— Co... co chcecie powiedzieć? — wyjąkał z trudnością.

— Byłem w wąwozie Therada, sir i znałem człowieka nazwiskiem Hulab-szach.

Ostatnie słowa wymówił syczącym szeptem i ze złośliwym uśmiechem.

Na generale wywarły one straszliwe wrażenie. Zachwiał się, twarz jego pokryła się trupią bladością. Po chwili milczenia wyszeptał zaledwie dosłyszanym głosem:

— Hulab-szach! Jakim sposobem mogliście znać Hulab-szacha?

— Przyjrzyj mi się uważniej, komendancie — rzekł włóczęga — wzrok pana jest słabszy, niż przed czterdziestu laty.

Generał długo i bacznie wpatrywał się w twarz nieznajomego kaleki. Nagle w oczach jego zaświecił szczególny blask. Poznał go.

— Boże sprawiedliwy! — krzyknął. — Przecież to nie może być kapral Ruf Smith!...

— Nareszcie poznał mię pan — rzekł włóczęga. — Niechże pan naprzód otworzy bramę; nie będziemy przecież rozmawiać tutaj, na drodze.

Generał okropnie jeszcze wzburzony, otwierał zasowy konwulsyjnie drżącemi rękoma. Widocznem było, że odkąd poznał kaprala Smitha, było mu lżej.

— Kapralu — odezwał się — niejednokrotnie zastanawiałem się, czy jeszcze żyjecie, ale nigdy nie spodziewałem się zobaczyć was na tym świecie. Cóżeście robili przez te wszystkie długie lata?

— Co? — odparł ponuro kapral. — Najczęściej byłem pijany. Jak tylko miałem pieniądze, kupowałem za nie wódkę i żyłem dosyć spokojnie. Gdy nie miałem już ani grosza, zaczynałem się włóczyć, trochę, żeby wydostać pieniądzy, trochę, żeby odszukać pana.

— Wybacz pan, że mówimy o sprawach własnych — rzekł do mnie generał, widząc zaś, że zabieram się do odejścia, dodał:

— Nie odchodź pan, wiesz już trochę o tej sprawie i być może wkrótce wezmiesz w niej czynny udział.

Kapral Ruf Smith spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

— On będzie brał w niej udział? — zapytał — jakim sposobem wmieszał się w to wszystko?

— Z dobrej woli i własnej chęci — pospiesznie wyjaśnił generał. — To mój sąsiad i obiecał mi pomoc, jeśli będziemy jej potrzebowali.

— No, dobrze, ale przecie to nie bagatela! — zauważył kaleka, patrząc na mnie z podziwieniem. — Nigdy nie słyszałem o czemś podobnem.

— Teraz znaleźliście mnie, więc powiedźcie, czego sobie odemnie życzycie? — odezwał się Levis.

— No, wszystkiego; potrzeba mi mieszkania, ubrania, jedzenia, a przedewszystkiem wódki.

— Dobrze, wezmę was do siebie i zrobię wszystko, co jest w mojej mocy — odparł po namyśle generał. — Ale musisz zachowywać dyscyplinę, jak dawniej. Ja jestem generałem, ty zaś kapralem.

Włóczęga wyciągnął się jak struna i zasalutował po wojskowemu.

— Mogę wam powierzyć nadzór nad ogrodem, odprawiwszy ogrodnika, którego teraz trzymam. Co zaś do wódki, będziecie dostawać oznaczoną porcyę, ale nie więcej. Nikt z nas w Cloomber-Hall'u dużo nie pije.

— A czyż pan sam, sir, nie palisz opium, nie pijesz wódki, albo czegoś w tym rodzaju?

— Niczego nie używam — twardo wyrzekł generał.

— Przyznaję, że nie zdobyłbym się nigdy na tyle siły i odwagi. Teraz nie dziwię się, że otrzymał pan krzyż podczas wojny. Słyszeć co noc jedno i to samo i nie pić dla dodania sobie odwagi! Jabym zwaryował w takich warunkach.

Generał Levis wyciągnął rękę, jakby chcąc wstrzymać Smitha i zwracając się do mnie, powiedział:

— Jestem panu bardzo wdzięczny, mr. West, za wskazanie temu człowiekowi drogi do mojego domu. Nie chciałbym, aby mój stary towarzysz cierpiał nędzę. Idźcie do domu kapralu, za chwilę i ja tam przyjdę.

— Powiedz pan, czy on nic panu nie mówił o mnie przed mojem przyjściem? — zapytał generał, gdy Ruf Smith był już daleko.

— Ani jednego słowa.

Generał odetchnął z widoczną ulgą.

— Sądziłem — rzekł — że opowiadał panu cokolwiek ze wspomnień przeszłości. No, pójdę zająć się nim. Do widzenia, mr. West.

Zdaje się, że dostatecznie zaznajomiłem już czytelnika z tem, co się działo na wewnątrz Cloomber-Hall'u; teraz więc przytoczę zeznania Izraela Stakso, będącego w służbie u generała Levisa i spodziewam się, iż rzucą one nieco światła na wewnętrzne życie jego tajemniczych mieszkańców.

Izrael Staks nie umie ani czytać, ani pisać. Wyręczył go w tem mr. Matyasz Clark, duchowny prezbiteryański ze Stonkirck, spisując jego zeznanie, pod którem zamiast swego podpisu, Staks postawił znak krzyża.

Zeznanie to, jako nader charakterystyczne, podaję i n e x t e n s o.

VIII.

Zeznania Izraela Staks'a.

Master Fatterjeall West i pastor żądają, abym opowiedział wszystko, co wiem o generale Levis'ie i o jego domu; nie rozwodząc się więc długo o szczegółach, dotyczących mojej osoby, przystępuję do opowiadania.

W maju minęło dwanaście miesięcy od dnia, w którym master Mac-Neyle, spotkawszy mię na ulicy, zapytał, czy nie miałbym ochoty objąć miejsca woźnicy i ogrodnika. W tym czasie szukałem akurat zajęcia; jednak nie dałem po sobie poznać, że jego propozycya jest mi bardzo na rękę.

— Zgadzacie się, czy nie? — zapytał krótko. — Proponuję wam dobre miejsce; nawet bardzo dobre; jeżeli chcecie je dostać, przyjdźcie jutro o godzinie drugiej popołudniu do mojego kantoru; będziecie mogli sami rozmówić się z tym panem, który chce was przyjąć na służbę.

Nic więcej od niego nie usłyszałem, bo to człowiek skryty i w interesach twardy jak kamień. W przyszłem życiu nie przyniesie mu to korzyści, chociaż tu na ziemi odłożył już sporo pieniędzy.

Otóż, na drugi dzień poszedłem do kantoru. Oprócz mr. Mac-Neyle'a zastałem tam wysokiego, chudego człowieka o siwych włosach i niezbyt przyjemnym wyglądzie. Spojrzał na mnie uważnie, a potem rzekł:

— Urodziliście się tutaj?

— Nietylko urodziłem się tutaj, ale tutaj wyrosłem i nigdy stąd nie wyjeżdżałem.

— Nigdy nie wyjeżdżaliście ze Szkocyi?

— Dwa razy wyjeżdżałem do Carleyle.

— Mr. Mac-Neyle mówił mi — rzekł generał Levis (gdyż on to był właśnie) — że nie umiecie pisać.

— Nie umiem — odpowiedziałem.

— Ani czytać?

— Nie.

— Zdaje mi się — zauważył generał, zwracając się do mr. Mac-Neyle'a — że dla mnie będzie odpowiedni. Jestem pewny, Staks — dodał — że będę z was zadowolony. Dam wam trzy funty miesięcznie pod warunkiem, że będę mógł was oddalić kiedy zechcę. Czy życzycie sobie służyć u mnie?

— Inaczej było na mojem poprzedniem miejscu — mruknąłem niezadowolonym głosem.

I nie skłamałem, gdyż stary fermer Scott płacił mi tylko jeden funt na miesiąc.

— Dobrze, dobrze — rzekł generał — może powiększę wam wynagrodzenie, jeżeli będę z was zadowolony, oto macie szyling na zadatek. W poniedziałek będę was oczekiwać w Cloomber-Hall.

W poniedziałek więc udałem się do Cloomber. Jest to wielki dom o stu, a może i więcej oknach. Ogrodnika tam właściwie nie było, ale zajmować się ogrodem nie miałem potrzeby, ponieważ prawdę mówiąc, nie było tam również i ogrodu. Pomagałem więc wznosić olbrzymią ścianę, którą generał otoczył całą swą siedzibę, czyściłem noże, obuwie i spełniałem inne posługi.

Oprócz mnie były dwie służące: kucharka Eliza i pokojówka, Mary. Całe swe życie spędziły w Londynie i mało znały świat.

Nie były one ani trochę religijne, wkrótce więc przestałem jako przykładny prezbiteryanin niemi się zajmować.

Rodzina generała, oprócz niego samego, składała się jeszcze z trzech osób; lady, syna, mr. Mordownta i córki, miss Gabryeli. Żona generała była chuda i blada, jak widmo; często, gdy myślała, że jej nikt nie widzi, wyrzekała i płakała; nieraz uważałem, że chodzi po parku i z rozpaczą załamuje ręce.

Mr. Mordownt i jego siostra również zachowywali się jakoś dziwnie; najgorzej jednak było z generałem. Chodził ciągle z kwaśną i ponurą miną i wyglądał, jak zbrodniarz z postronkiem na szyi.

Raz zapytałem w kuchni. co się dzieje w tej rodzinie, ale kucharka odpowiedziała mi, że ją obchodzi tylko jej zajęcie i że za to otrzymuje wynagrodzenie. Jednem słowem, nic się nie dowiedziałem.

Tak minął tydzień, drugi, trzeci, wreszcie minął miesiąc. Generała ogarniała coraz większa trwoga, lady była coraz smutniejszą. Między sobą nigdy się nie kłócili. Gdy z rodzicami byli młodzi, rozmawiali mało; gdy młodzi odchodzili, generał z żoną mówili o czemś długo przyciszonymi głosami. Ze wszystkiego można było wnioskować, że spodziewają się jakiegoś nieszczęścia; jakiego jednak, nie mogłem się dowiedzieć.

Słyszałem niejednokrotnie, jak generał mówił, że nie boi się ani śmierci, ani żadnego innego niebezpieczeństwa, z którem można się spotkać twarzą w twarz, z którem można walczyć, ale długie oczekiwanie i niepewność pozbawia go sił i odwagi. Lady często odpowiadała na to, że może niema jeszcze powodów obawiać się tego, że to stanie się może dopiero przy końcu ich życia. Generał jednak nie chciał nawet słuchać!

Wiedziałem, że młodzi ludzie nie siedzą wciąż w domu, że zapoznawszy się z rodziną Westów, zaczęli bywać w Brinksom. Generał zbyt się zajmował swemi własnemi sprawami, aby to zauważyć; ja zaś nie sądziłem, ażeby mojem obowiązkiem było zawiadamiać go o tem, co się dzieje w jego rodzinie.

Dotychczas nie mówiłem o pewnej rzeczy, o której wszakże należy wspomnieć koniecznie.

Generał spał sam w pokoju, bardzo odległym od wszystkich innych. Gdy wychodził, drzwi zamykał na klucz i nikomu nie wolno było wejść do jego pokoju.

W nocy stary pan chodził po całym domu, wcale się spać nie kładąc.

Lampy oświecały wszystkie pokoje, najmniejszy kącik nawet, tak, że wszędzie było jasno, jakby w dzień.

Pewnego razu, gdy pracowałem w ogrodzie, generał podszedł do mnie i zapytał:

— Czy strzelaliście kiedy z pistoletu?

— Boże uchowaj! — odpowiedziałem — nigdy w życiu nie miałem w ręku nic podobnego.

— No, to i nie bierzcie — rzekł on. — Każdy człowiek powinien bronić się tylko tą bronią, do której jest przyzwyczajony. Sądzę, że wy naprzykład doskonale moglibyście się bronić nożem ogrodniczym?

— Pewnie, że mógłbym — odparłem — to każdy tutaj potrafi.

— Cloomber leży na uboczu — zauważył po chwili generał — może się zdarzyć, że zajrzą tu kiedy jacy włóczędzy. Myślę, że ja, wy, syn mój i mr. West, który przybędzie do nas w razie potrzeby, potrafimy się obronić. Nieprawdaż?

— Naturalnie, sir. Wprawdzie lepiej mieć spokój, aniżeli się bić; jeżeli jednak doda mi pan jeszcze jeden funt na miesiąc, będę gotów do wszystkiego.

— Nie będę sę sprzeczać o jeden funt — odparł krótko generał.

Nie jestem ciekawy i nie lubię nikogo podpatrywać, zachodziłem jednak w głowę, dlaczego generał chodzi całemi nocami po domu i dziwiłem się, co mu tak odbiera sen?

Pewnego razu, sprzątając korytarz, wiodący do pokoju generała, spostrzegłem w rogu kupę portyer, dywanów i tym podobnych rzeczy. Pomyślałem wtedy, że możnaby schować się tam i zobaczyć, co się będzie tu działo w nocy.

W jednej chwili powziąłem postanowienie. W kuchni powiedziałem, że bolą mię zęby i idę spać do siebie. Znalazłszy się w swoim pokoju, zdjąłem trzewiki, a potem ostrożnie wbiegłem na drugie piętro i ukryłem się pod dywanami, zostawiwszy sobie mały otwór do obserwacyi. Wkrótce w domu wszystko ucichło.

Boże mój! Za wszystkie skarby świata nie zgodziłbym się powtórnie przeżyć takich kilku godzin! Nawet teraz, gdy o nich wspominam, zimny dreszcz mię przejmuje.

Sama już cisza, panująca dokoła, napełniała mię przerażeniem. Nagle, a mogła być wtedy godzina druga nad ranem, usłyszałem jakiś dziwny, nie dający się określić dźwięk. Nic podobnego jeszcze nie słyszałem. Było to bardzo ciche, ale zarazem donośne i przejmujące dzwonienie. Przestraszony zacząłem się przysłuchiwać, ale wszystko już zcichło i zapanowała znowuż grobowa cisza.

Po długich chwilach oczekiwania, w których nerwy moje były naprężone do ostatnich granic, dziwny ten dźwięk rozległ się powtórnie; tym razem jednak generał dosłyszał go również. Zajęczał strasznie, jak człowiek, który, zasnąwszy głęboko, nagle został rozbudzony. Wstał z łóżka i po chwili usłyszałem jego kroki, rozlegające się wśród nocnej ciszy.

W tem drzwi od pokoju generała otworzyły się. Pierwszy raz zobaczyłem wnętrzne pokoju starego dziwaka; zaledwie jednak zdążyłem spojrzeć na ścianę, zawieszoną rozmaitego rodzaju bronią, generał wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą.

Zauważyłem, że oczy błyszczą mu przerażająco, a cała twarz drga, jakby w strasznych bólach. Wyglądał na człowieka, przejętego śmiertelnym strachem.

Gdy tak uroczyście i w milczeniu chodził po długim i pustym korytarzu, wysoki, chudy, z żółtą twarzą, zdawało się, że to upiór.

Nagle, gdy generał był tuż koło miejsca, w którem się ukryłem, rozlekło się wyraźnie, głośno, owe tajemnicze dzwonienie. Dźwięk ten był niezmiernie blisko, nie potrafiłbym jednak powiedzieć skąd pochodził. Może dzwonił sam generał, ale zauważyłem, że ręce jego martwo zwisały. Wydawało mi się wszakże, że dźwięk, ten rozlega się nad głową generała.

Starzec nie zwracał nań najmniejszej uwagi: przeszedł koło mnie i wkrótce zniknął na zakręcie korytarza. Wtedy, nie tracąc ani sekundy, wydostałem się ze swej kryjówki i pobiegłem do siebie.

Nikomu nie zwierzyłem się z tem, co wtedy słyszałem, ale postanowiłem opuścić Cloomber-Hall w jak najkrótszym czasie. Wprawdzie cztery funty miesięcznie, to suma, jak dla mnie, olbrzymia, nie wynagrodziłyby mi one wszakże utraty spokoju i zatracenia duszy.

(C. d. n.).

HUMOR i SATYRA.

Historya o zaręczynowym pierścionku.

Posagowym będąc łowcem, Henio w naszem pięknem mieście wciąż *posagu* szukał *z panną* — no i znalazł go nareszcie...

Gdy przyjęto oświadczyny, — dzień zaręczyn oznaczono, a na obchód ten rodzice zaprosili gości grono.

Ale smutnym był nasz Henio — to każdego chyba wzruszy — pierścień kupić należało, on bez grosza był przy duszy...

Myśląc długo nad tym faktem, w końcu wpadł na pomysł nowy, i wykrzyknął: — Eureka! pierścień mam zaręczynowy!

I kopnąwszy się na Szpitalną, do złotnika znajomego, przywitawszy się z nim czule, tak przemówił tam do niego:

— Robiliśmy zawsze z sobą interesy od lat wielu, więc następnej mi przysługi nie odmówisz przyjacielu: w krótkim czasie się ożenię, posag piękny biorę, ale... na pierścionek do zaręczyn ani grosza nie mam wcale; czybyś zatem go na kredyt dać nie zechciał, przyjacielu, a należność wraz z procentem zwrócę zaraz po weselu!

Wysłuchawszy tej przemowy, pogładziwszy zwolna brodę, rzekł z powagą Symcha Boruch: „zrobię panu tę wygodę".

W dwa tygodnie po tym fakcie odbyły się zaręczyny, Henio piękny dał pierścionek (mały brylant i rubiny), sam zaś dostał pierścień cenny, familijny klejnot pono (więcej takich pięknych rzeczy miał nasz Henio wziąć za żoną).

Coś niedługo po tej frajdzie — w tem się cały feler mieści — Henia piękna narzeczona odebrała list tej treści:

„Moja pani! Ten pan Henryk, godna bardzo jest osoba, i ja jemu ufam strasznie, on mnie bardzo się podoba. Ja bym jemu sklep powierzył z biżuteryem mojem całem, jak na kredyt chciał pierścionek, bez gadania mu go dałem, bo na świecie nie są tylko szantażysty i złodzieje... Ale nie raz tak się zdarza, że małżeństwo się rozchwieje, gdyby kiedyś z panem Henryk miała pani ku zerwaniu, to ja prosić będę ładnie godną panią w zaufaniu, zwrócić pierścień już nie jemu, tylko prosto w ręce moje, choć pan Henryk ja szanuję i o dług swój się nie boję".

Narzeczona po tym liście powiadają, że zemdlała — wnet się zeszła na naradę wujów, ciotek horda cała, wywiedziawszy się o Heniu, zgodnie wszyscy uradzili, żeby z golcem takim zerwać, nie czekając ani chwili. Wnet o zwrot pierścionka prosząc, list do Henia napisano, a natomiast jego pierścień Bruchowi odesłano (o czem w liście tym do Henia uczyniona wzmianka była...)

Wieść ta, całe niespodziana, Henia gromem poraziła. Siedział długo, medytując w myślach ciężkich pogrążony, — lecz się w końcu zerwał nagle, świeżą myślą ucieszony. Popędziwszy do lombardu... wnet zastawił pierścień stary, kwit odesłał narzeczonej, sam zaś uśmiał się bez miary.

Obawiając się skandalu, nie chcąc robić brzydkiej wrzawy, po wypadku tym niezwłocznie Henio drapnął gdzieś z Warszawy...

I tak sprawa z tym pierścionkiem sprytnie była zakończona: Boruch na tem nic nie stracił, tylko — Henia narzeczona.

Ostrożny.

Sara Geruchmilch podała do stołu tort, który odebrała od piekarza.

— Pomyśl sobi — mówi do męża — co to za durny przypadek. Piekarz zamienił nasz tort za inny i nam przyniósł ten tort, ale ja go nie oddałam, bo ten jest nawet lepszy.

— Nu — mówi mąż — to w takim razie ty, moja kochana żonka, musisz zjeść pirszy kawałek.

— Dlaczego? — pyta Sara.

— Dlatego — mówi pan Geruchmilch — bo ten, komu zamieniali tort, będzie przeklinać i powie, aby ten, kto jego tort zje, przy pierwszym kawałku się udławił...

*

Sielanka.

Pojdziem z sobą na kraj świata,
Gdzie nas los poniesie —
I w ustroni pobudujem
Chatkę w dzikim lesie.
Zjemy jagód, popijemy
Świeżą wodą z dzbanka:
Dostaniemy niestrawność —
Otóż i sielanka!

*

W sądzie.

S ę d z i a. W roku bieżącym stajesz oskarżony już o ósmą kradzież.

P o d s ą d n y. Muszę przyznać, panie sędzio, że rok miałem wyjątkowo pomyślny.

*

W jednej z pierwszorzędnej restauracyi.

Gospodarz uśmiechnięty zbliża się do gościa. — Jakże panu dobrodziejowi smakuje befsztyk?

— O! — odpowiada gość — nieźle... Ale... strasznie mały w stosunku do jego wieku.

STARA BAJKA.

Chciał ktoś ludziom być miłym. Więc, by się nie kłócić,
Uważał, by nikogo nigdy nie zasmucić.
Był wesół — chociaż sztucznem bywało wesele,
Dzielił się kęsem chleba — a nie miał go wiele,
O sobie nie rozprawiał, cudzych żalów słuchał,
I — jak to zwykle mówił — choć na zimne dmuchał.
Płakał z drugim — znów cieszył się, gdy przyszła pora,
Choremu przyprowadził za darmo doktora,
Ubogiego wykupił, smutnego pocieszył,
Krótko: gdzie mógł, z usługą, dobrem słowem spieszył.
Aliści rzadko wdzięczność spotkał. Choć się trudzi,
Nie pozyskał miłości upragnionej ludzi.
Gdy się komuś poskorżył, taką wziął odpowiedź:
Chcesz, aby cię kochano — bogactw swoich dowiedź!
Na uprzejmość i dobroć — szkoda czas swój tracić!
Kto chce, by go kochano — winien się wzbogacić!

Do P. T. Kupców i Przemysłowców!

Młode nasze pismo rozbudziło w szerokich sferach społeczeństwa ogromne zainteresowanie i zyskało sobie wielką poczytność. — **„Życie i Powieść“** w tysiącach egzemplarzy idzie do miast, miasteczek i wsi. To też inserowanie w naszem piśmie przedstawia dla P. T. Kupców i Przemysłowców wielkie i niechybne korzyści. Należy pamiętać, że grosz na reklamę wydany sowicie się procentuje.

Wiersz jednoszpaltowy ogłoszenia w „Życiu i Powieści“ kosztuje 2 korony.

Wiersz w tekście redakcyjnym — 5 koron.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Życia i Powieści“ Kraków, Karmelicka 16, oraz wszystkie krajowe Biura dzienników i ogłoszeń.

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo
Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.